Nr. 43. Warszawa, dnia 16 (28) Października 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WOJNA I DYPLOMACYA.

Kiedy spór między Boerami a Anglią wojennie się już zaostrzył, zadawano sobie w Europie pytanie: czy też ujmie się kto za słabszym i uciśnionym, czy ujmie się choćby tylko słowem, jeśli nie orężem?

Zarówno przewidywania uczucia z idei ogólnych, nad człowiekiem panujących, wysuwane, jak i przewidywania rozsądku, na interesie politycznym oparte, zawiodły: w Afryce krew popłynęła, a w Europie nie drgnął nikt. Politycy trzeźwi, w sądach i domniemaniach swoich kierujący się przeświadczeniem, że jedyną i niezmienną, niezużytą przez wieki zasadą życia jest osłabianie innych, a wzmacnianie siebie — politycy wprawdzie tylko teoretyczni, publicyści mieli prawo przewidywać wystąpienie interesów z angielskiemi sprzecznych i rozpęd ich przeciw Boerom tamujących. I to przecież okazało się wymaganiem zbyt wielkiem, i na to rzeczywistość zdobyć się nie mogła. Wprawdzie pisano po dziennikach o jakiemś srożeniu się p. Delcasse go, ale się teraz okazuje, że minister francuski chciał tylko zrobić manifestacyę, a nie czyn polityczny i to jeszcze pytanie: czy choćby tę manifestacyę swoją istotnie zrobił?

Był jeden człowiek, była jedna potęga w Europie z góry wskazana na orędowniczkę Boerów: cesarz Wilhelm. Miał on za sobą tradycyę, związany był własną swą przeszłością. Wypadek jest zbyt świeży, aby mógł się zatrzeć w pamięci. Kiedy Jameson na przełomie roku 1895 w 1896 urządzał zbójeckie najście na Transwal, cesarz Wilhelm w porywie, nie interesu politycznego, ale humanitarnego uczucia — wysłał pamiętny swój telegram do Krügera. W telegramie tym przemówił ideowy obrońca prawa, wróg krzywdy, serce uradowane jej odparciem. Można było spodziewać się pewnej trwałości usposobienia, pewnego zasadniczego tonu, któryby i teraz nie zamilkł. Ale stało się inaczej: albo trwałość i zasada nie zgadzają się z tą indywidualnością, albo też są tak słabe, że je interes poddawany z zewnątrz łatwo wypędza z umysłu, albo wreszcie odwaga przeciw Jamesonowi nie jest odwagą przeciw Anglii. Dość, że i stąd również, z Berlina, nie zabłysło Boerom najsłabsze choćby światełko: w tragiczny bój poszli sami, a treścią swego *ultimatum*, ułożone go chełpliwie, starli ze sprawy urok brutalnego gwałtu, spełnionego przez Anglię.

Cesarzowi niemieckiemu nie w głowie teraz sympatye dla Boerów: interes nakazuje mu raczej sympatyzować z Anglią. Dwa znamienne w tych czasach przybyły pod tym względem objawy. D. 18 b. m., w rocznicę bitwy pod Lipskiem, a z okoliczności spuszczenia na morze nowego okrętu „Karol Wielki," miał cesarz w Hamburgu mowę o potędze morskiej, o flocie i konieczności utrzymania jej na wyżynie jak największej siły. Tezą, dającą podkład oracyi, było dawniej już wypowiedziane zdanie, oczywiście paradoksalne: przyszłość Niemiec na morzu. Cesarz wyrzucał opozycyi jej opór, szczęśliwie wszakże do r. 1903 przełamany, a na siłę kładł nacisk tak wielki, że stronnictwa, mające stałe rachunki do załatwiania z rządem, zatrwożyły się, czy nie będzie znowu jakich projektów w sejmie, jakiego nowego sięgnięcia do kieszeni już i tak ciężko opodatkowanych. Do mowy cesarskiej przybył komentarz w ogłoszonym teraz przez *Wiener Allg. Ztng* raporcie ministra sekretarza stanu do spraw zagranicznych, Bulowa. Nie jest to zwykły ministeryalny raport do cesarza: jest to memoryał, wytykający drogę na przyszłość. Błędy liberalizmu powtarzać się już nie powinny, niepodobna też prowadzić polityki polskiej na morzu. Błędami liberalnymi nazywa tu Bülow obstawanie przy prawie konstytucyjnem pruskiem w latach 1860—63, a polityką polską — politykę szanowania konstytucyi względem Polaków, której trzymał się Caprivi. Rozwijać się na morzu, rozwijać jak najsilniej, a nigdy w przeciwieństwie z Anglią: owszem, stale zachowywać z nią pokój, okazywać jej życzliwość, starać się o jej wzajemność — czyli dostać się do nieba w fałdach jej nad wszystkimi oceanami ziemi rozwiewającego się płaszcza. Cesarzowi ta droga wielce się podobała; ale na tej drodze Transwal może tylko być włóczęgą, do kopnięcia nogą. I oto dlaczego cesarz Wilhelm zapomniał o swym telegramie.



Tydzień polityczny. W piątek i sobotę przeszłego tygodnia walczono w Natalu, w owym trójkącie północnym, zacięcie. Pierwszego dnia uderzyli boerowie na Glencoe, drugiego na Elands Laagte; oba napady Anglicy odparli, sami ponosząc znaczne straty i większe jeszcze zadając nieprzyjaciołom. W tym tygodniu, d. 24 b. m. cofnęli się ku podstawie trójkąta, do Ladysmith. Pomimo przegranych zatem powodzenie dzięki liczebnej przewadze sprzyja Boerom: cofnięcie się Anglików jest zwycięztwem strategicznem Jouberta, głównodowodzącego na tamtej widowni.

Ożywia się też i działanie na zachodzie; Boerowie zajęli świeżo jakiś ważniejszy punkt w Beczuanie.

Obie rzeczypospolite odrazu dokonywają sprostowania granic, odrywając okrawki pograniczne od Przylądka. Transwal przyłączył Beczuanę i zachodni Griqualand!

Słabość artyleryi zachmurza dalsze widoki na równi z liczebną i mocarstwową przewagą Anglii.

Parlament, który w tym tygodniu ma zakończyć 10-dniową swoją sesyę, dał rządowi 10 milionów funtów i 35.000 milicyi. Ruch w zbrojowniach wszelkiego rodzaju wielki, nietylko z powodu Transwalu: wiatr zawiał podobno i od zatoki Perskiej. Tak głoszą nowiniarze, nakręceni może do gadania dla ukrycia rzeczywistych zamysłów, albo też koniecznie coś nowego trajkotać potrzebujący. Donosi też telegraf i o ruchu w arsenałach wojennych w Stanach Zjednoczonych.

W przedlitawskiej Radzie państwa zaczęły się rozprawy nad programem nowego rządu. P. Jaworski d. 25 b. m. miał mowę w imieniu Koła przeciw rządowi: nie dał się zatem ściągnąć na manowce, on sam, a głównie Koło. Czesi zachowują się o wiele przyzwoiciej od Niemców za Badeniego, Gautscha i Thuna. Prawica cała jako masa na zewnątrz trzyma się jeszcze w kupie, ale katolicy Kathreina mają już wielką ochotę odpaść od Niemców. Wybory prezydyum utrzymały ponownie kandydatów większości; wybrani: Fuchs na prezesa, Piętak, profesor lwowski, na pierwszego wice-prezesa, Lupul — na drugiego.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KARTKI KRAKOWSKIE.

Kraków, d. 23 października 1899.

Dawny statut m. Krakowa. — Reforma wyborcza. Mieszczaństwo i robotnicy w tej sprawie. — Prasa mieszczańska. — Wodociągi. — Klub konserwatywny. -Otwarcie roku szkolnego w uniwersytecie.— Popularne wykłady w Krakowie.

Kto sądzi, że stary gród podwawel-[illegible] przeżarty słynną galicyjską biedą, myli się bardzo. Brak nam wprawdzie ożywionego życia przemysłowego, nie mamy własnej sprawy panamskiej, a o nadużyciach we Floryance zapomniano wobec potężniejszych krachów lwowskich, stoimy zdaleka od ognisk politycznego życia parlamentu i sejmu, ale wciąż wre u nas i kipi, na co nieraz w listach moich będę mógł dostarczyć dowodów. Są to burze w szklance wody, ze względu na rozmiary walk, ale sprawy niemałej wagi pod względem zasadniczym. W ostatnich miesiącach hasłem do oddziaływania na szerokie warstwy ludności stała się reforma statutu miejskiego.

Rada miasta wybierana była dotąd na podstawie „tymczasowego“ statutu z r. 1866, który po upływie każdego trzechlecia, a zatem przy nowym wyborze połowy radców miejskich miał być jakoby zmieniony. Reforma wciąż jednak każe na siebie czekać. Rok bieżący jest nawet z rzędu czwartym, dodanym do poprzedniej kadencyi, w celu przeprowadzenia nowej ordynacyi, na podstawie której wybrano by już połowę radzieckiego ciała. Dotychczas od czynnego i biernego prawa wyboru wykluczone były nietylko zastępy robotnicze, ale i uboższe mieszczaństwo. Wyborcy zaś dzielą się na trzy koła: koło inteligencyi, które wybiera 20 radnych, ale właściwie przedstawicieli swoich nie posiada, gdyż wszyscy urzędnicy gminy, kraju i państwa, oprócz profesorów uniwersytetu, są od biernego prawa wyboru wykluczeni. Z tego powodu koło inteligencyi, w krórem było przed trzema laty 2,042 osób uprawnionych, ma przeważnie pośredni wpływ na bieg spraw miejskich. Dwa inne koła obejmują rękodzielników, przemysłowców, kupców i właścicieli realności, a każde z nich, według opłacanego podatku, wyodrębnia grupkę zamożniejszą od szerszej a uboższej warstwy. Ten wytwór konserwatyzmu, jedyny nawet wśród ordynacyj wyborczych miast galicyjskich, przetrwał 33 lata, oparty na zręcznie przeprowadzonej zasadzie *divide et impera*. Świat obywateli pracujących umysłowo oddzielono sztucznie, jako kastę od świata interesów realnych i przedsiębiorstw, a w tym ostatnim zaprowadzono podziałki, aby każdy wyborca znajdował się tylko *inter pares*, a broń Boże, nie miał praw równych z uboższym. Nawet wśród uprawnionych do głosowania było tedy i dawniej wiele powodów niezadowolenia. Gdy zaś nowa ustawa wyborcza powołała do parlamentu i życia politycznego wszystkich pełnoletnich obywateli, powstaje masa niezadowolonych, domagających się przynajmniej zwycięztwa zasady powszechnego głosowania, jeżeli nie równych praw dla wszystkich. Projekt prof. Kasparka z 1896 r. zdawał się istotnem przeobrażeniem stosunków w myśl życzeń ogółu. Pozostawiał on wprawdzie system kuryalny, ale wyborcom z koła inteligencyi nadawał prawo wybieralności, a do trzech istniejących dodawał koło czwarte, powszechne, w którem każdy obywatel pełnoletni miał prawo głosu i które wybierało 20 radnych. Był to bezwarunkowy postęp w porównaniu z systemem dotychczasowym, jakkolwiek oryginalnem w pomyśle prof. Kasparka było tylko wykluczenie od prawa wyboru i wybieralności wszystkich analfabetów (w Krakowie 2,035 obywateli traciło przez ten census inteligencyi prawo wyborcze). Projekt ten obudził przecież w samej radzie surową krytykę; odesłano go do komisyi, z której wyszedł przed kilku miesiącami nietylko obarczony dziwnym szeregiem dziedzicznych ułomności, ale i okaleczony do niepoznania. Ponieważ Wydział krajowy pozostawił nietkniętą tę nową ordynacyę wyborczą, miastu grozi jej narzucenie, je-

---

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA.

Pod lipą już opustoszało.

Szafarka zrzędziła niemiłosiernie, a ogrodnik zcicha podśpiewywał.

Zatrzymali się śród klombu.

— Widzę teraz, że całą tę sprawę zbyt żywo wziął pan do serca. Trzeba się otrząsnąć i rozerwać: oto sto rubli na rachunek tantyemy, niech pan wyjedzie do miasta na te dwa dni i zabawi się podług upodobania — rzekł dziedzic dobrotliwie.

Rządca przez chwilę stał zakłopotany.

— Widzi pan, tu nie chodzi o mój humor chwilowy, lecz o możność dalszej pracy... Wyznaję szczerze, iż nie umiałbym dla pana nadal pracować, gdyby wyrok w tej sprawie został wykonany. Mnie się to wydaje czemś tak okrutnem, nawet wprost barbarzyńskiem...

— Pan się unosi — podchwycił sucho dziedzic — zresztą pańskie zdanie w tej sprawie jego tylko może obchodzić.

— Rozumiem to i dlatego mówię dziś, zaraz i zupełnie wyraźnie, że...

— Zostawmy tę sprawę do jutra—rzekł dziedzic i, po spiesznym ukłonie zwrócił się do ogrodu.

Młodzieniec chodził jeszcze czas jakiś dokoła trawnika, rozdzielającego dwór od oficyny i rozmyślał nad sposobami wyjścia z niezwykle przykrej pozycyi.

— Nie mogę być uczestnikiem bezgranicznej pychy tego pana i jego wstrętnego egoizmu — postanowił nareszcie i słysząc niemile go drażniące dźwięki przygodnej kapeli i przytupywanie wesołych tancerzy pod czworakami, pospieszył do siebie.

Wincenty już go nie oczekiwał, snadź przypuszczając, iż wesołe dożynki u państwa zatrzymają go do północy.

Kolejno odrzucał brane do ręki książki i pisma, bo nic nie przypadało zgodnie do tej strasznej rozterki duchowej, która nim owładnęła.

Czuł jakąś porażkę okropną, lecz porażkę bez walki i opłaconą kosztem drugich, kosztem tych ciemnych i bezmyślnych, wobec których on stawał tyle razy, żądając zupełnego zaufania i uległości.

Już nawet zaczęli mu ufać, już ten i ów ze służby czasem, lubo nieśmiało, obnażał swą duszę przed nim, odkrywał swe bóle i pragnienia, a teraz oto...

Ta sprawa wyświetla całą marność jego stanowiska, całą bezsilność jego jako zwierzchnika i kierownika. Więc sprzedał wszystko: dążności, upodobania, poglądy społeczne itd. Sprzedał to wszystko tak dalece, iż chwilami tracił poczucie swej odrębności duchowej, wcielał się w system wytwornego dziedzica i stawał się batem w jego ręku. W najlepszym razie, jak teraz właśnie, zostawała mu rola widza i to widza bezwarunkowo bijącego oklaski.

Nie, to nie do zniesienia!

A od czworaków biegną odgłosy piosnki swawolnej, grzmotliwego śmiechu i energicznego przytupywania.

— A jednak oni mogą się bawić! — pomyślał z goryczą, czując nieprzezwyciężoną ochotę, żeby pójść tam, popatrzyć i wybuchnąć choćby śmiechem smutnej, dotkliwej ironii.

Bagatela! Trzy kobiety pójdą na miesiąc do więzienia, kędy nie masz klasyfikacyi win, nie masz żadnych rozgraniczeń dla łotrów skończonych i przestępców z przypadku. Więc stanie się rzecz smutna i potworna. Trzy te młode kobiety wrócą zdemoralizowane, niby żelazo rdzą żrącą dotknięte, pozbawione wstydu i cyniczne, wrócą na hańbę dalszą i upodlenie własnych rodzin, a może nawet i wsi całej.

Prawu stanie się zadość. Trzy rodziny skąpią się w lepkiem błocie występku, trzy istoty młode wpadną w czeluście marnego upadku, a on, rzekomy kierownik i przewodnik, spocznie na wawrzynach zasłużonej u dziedzica tantyemy i banalnych jego pochwał.

— Nie, tak być nie może! Raczej miesiąc głodu i przykrych starań o nową posadę u innego rodzaju królika! — wykrzyknął tak głośno, aż stróż nocny przystanął na chwilę i bacznie nasłuchiwał.

Jakoś na dobre mu to wyszło, bo pan rządca wyszedł zaraz na ganek i otarłszy się o jego sukmanę i swory psów mu towarzyszących, krokiem powolnym i ociężałym posunął się ku czworakom i pobliskiej wiosce.

Aby spotkać go z powrotem do domu, to już potem można zasnąć spokojnie do białego dnia.

żeli opinia publiczna stanowczo nie zaprotestuje przeciw temu dekretowi od profesorskiego zielonego stolika.

W komisyi statutowej zasiadali bowiem przeważnie profesorowie uniwersytetu, uczeni prawnicy, którzy z duchem nowoczesnej demokracyi pogodzić się nie chcą i są tego przekonania, co *Czas*, który powiada, że „posłowie polscy (a zapewne i radni krakowscy) rozumieją mandat, jako wybór na przewódcę, jako wotum zaufania," a nie powinni zwracać uwagi na żądania swoich wyborców.

I miasto tedy uszczęśliwić chcą dziś ordynacyą, która usuwa kuryę powszechną, pozostawia dawny podział na koła, a z 17,300 pełnoletnich obywateli Krakowa 13,400 wyklucza od wpływu na samorząd miejski. Choć to nie nowość, ale *zwyczaj* zdawna u nas praktykowany, natrafia nowy projekt na energiczny opor. Koła dopuszczone do wyborów parlamentarnych nie chcą słuchać naszych teoretyków niemieckich, którzy dowiedli niezbicie, iż samorząd miejski opierać się powinien tylko na obywatelach wybitnych i na zamożnych warstwach mieszczaństwa. Zresztą radykalne rady miejskie we Francyi przeciwstawiają tej teoryi długoletnią już praktykę, która kastową uczoność złożyła do składu rupieci, a zajęła się interesami ludności pracującej, postępując w myśl jej życzeń. Jeżeli zatem stańczycy mogą się powołać na powagi zagraniczne, to niższe mieszczaństwo i robotnicy stawiają gminie miejskiej cały szereg konkretnych żądań, które powinny mieć w radzie obrońców i przedstawicieli.

Jako najruchliwsze rozpoczęło tę agitacyę stronnictwo robotnicze jeszcze w czerwcu. Zgromadzenie rękodzielników i przemysłowców d. 4 sierpnia niedwuznacznie zażądało demokratyzacyi rady i pomnożenia liczby radców z 60 na 100, tak aby wszystkie warstwy ludności miały swoich przedstawicieli. Zawezwani na to zgromadzenie demokratyczni posłowie krakowscy nie stawili się. Cóż dziwnego, sezon kąpielowy! Tylko łyki albo zasiadający zwykle w lecie parlament angielski mogą tego nie uznawać.

Gospodarka miejska z dwu stron poddaną jest tedy ostrej krytyce. Ekonomiczne upośledzenie miasta i kraju wysuwa się na plan pierwszy. Na ostatniem posiedzeniu krakowskiej rady miejskiej uchwalono wysłać deputacyę do tronu w następujących sprawach: reorganizacyi szkoły przemysłowej, pod którą już przed sześciu laty miasto darowało grunt przeszło 100 tys. zlr. wartości, studyum rolniczego, które od czterech lat czeka własnego gmachu i odpowiednich laboratoryów dla kształcenia rolników, oraz zatwierdzenia pożyczki wodociągowej na 300,000 zlr. Zwłoka ze strony władz wiedeńskich kosztuje już w tej sprawie kilkadziesiąt tysięcy, które miasto byłoby mogło zużytkować.

Przypuszczając, że pożyczka tym razem dopisze, rozpoczęto już zakładanie rur wodociągowych, tak że w lipcu roku przyszłego wodociągi zaczną funkcyonować. Sprawa to nie nowa, gdyż ciągnie się od lat 29. Ale dopiero prof. Odo Bujwid energicznie się nią zajął, przeprowadził w swych laboratoryach wszystkie analizy wody, a wreszcie odnalazł doskonałe czyste źródła za Bielanami. Kraków mieć będzie lepszą wodę nietylko od Warszawy, lecz i od Wiednia.

Polityką kraju i państwa zajmował się w zeszłym tygodniu krakowski klub konserwatywny. Pod hasłem konserwatyzmu występować u nas dotąd musi każda korporacya, jeżeli chce uniknąć klątwy stojących u steru stańczyków. To też, jakkolwiek w sprawach ekonomicznych, któremi się klub przeważnie zajmuje, wygłoszono tu niejeden projekt reformy i niejedno słowo krytyki istniejących stosunków, nazwa konserwatywnego pozostała. Coś w rodzaju „zdrowego postępu" warszawskiego. W kwestyach polityki państwowej podziela klub stanowisko Koła polskiego, a o ile go nie podziela, stara się przynajmniej zachować pozory solidarności. W polityce krajowej najczynniejsze głowy, jak np. pp. Górscy Piotr i Antoni, stanowczo opierali się rozszerzeniu prawa wyborczego. Klub ma naturalnie swoją prawicę i lewicę, a ostatnia onieśmielona przez prawdziwie konserwatywne powagi, przynajmniej ekonomiczne, politykę Koła niszczącej poddaje krytyce.

Na ostatnie posiedzenie przybyli z Wiednia posłowie: hr. Dzieduszycki i dr. W. Kozłowski. Znaną jest gościnność i uprzejmość nasza, a zwłaszcza wśród warstw, które chcą zachować tradycye dworskości. To też przemówienia byłyby wyłącznie usprawiedliwiały sztukę politykowania Koła polskiego w Wiedniu, gdyby nie garść faktów, rzuconych przez sekretarza izby handlowej, dr. Benisa, które jaskrawo oświetliły rezultaty tej polityki. Bo cóż odpowiedzieć na to, że podatki dochodowe i zarobkowe z Galicyi wzrastają, a towarzyszy im ostateczne wycieńczenie ekonomiczne kraju i coraz gorszy bieg interesów, który się chyba najlepiej objawia w tem, że $^{9}/_{10}$ dochodów, z t. zw. egzekutnego za podatki opłaca Galicya. Kraków opodatkowano tak wysoko, że sądząc z sumy przypadającej na głowę, byłby on drugiem, co do zamożności, miastem w Austryi, a w Wiedniu przyjęto na głowę dochód o 300 zlr niższy, niż w Krakowie. Traktaty handlowe, za którymi głosuje Koło polskie, przynoszą krajowi tylko szkody, a jego zwycięztwa polityczne wyzyskują współzawodnicy zarówno w prawodawstwie, jak i w administracyi, która w Austryi wobec stosunku państwa do krajów, a tych do gmin jest niezmiernie ważnym i skomplikowanym mechanizmem. Mówca zaznaczył, że w ministeryum handlu i kolei niema wyższych urzędników Polaków, ale czy wygralibyśmy na ich mianowaniu, skoro każdy wyższy urzędnik Polak, a zwłaszcza każdy minister uważa sobie za punkt honoru, aby równomiernie wszystkie kraje traktować i nie specyalnie dla Galicyi nie żądać? Z uczuciem przedstawiciela niższego, czy mniej wartościowego narodu zbliża się taki urzędnik czy poseł do rządu centralnego, zawsze przygotowany na odmowę i z nią zgodny, nie żądając tego, co się należy, lecz prosząc, jak o jałmużnę. Politykowanie uważa się za sprawę nieskończenie wyższą od interesów ekonomicznych, życiem praktycznem się pomiata, ale nie zapomina o drobnych ambicyjkach.

Rok bieżący jest dla uniwersytetu Jagiellońskiego niesłychanie ważnym, jako jubileuszowy, a wszystkie fakultety sposobią się, aby godnie uczcić tę ważną rocznicę. Hr. Tarnowski, który jako rektor będzie przewodniczył uroczystościom, po raz drugi wybrany jest na to stanowisko. Pierwsze rektorstwo jego przypadło na rok przeniesienia uniwersytetu do nowego

---

Młodzian wlókł się niezdecydowany. Raz chciał pójść do owych trzech nieszczęśliwych i pocieszyć je, to znowu zmagał się z sobą, wchodził w układy z własną duszą, nieco nadpsutą i pragnął jeno zostać ubocznym widzem smutnej prawdy życiowej. Chciał być dobrze wychowanym.

Nagle śród wierzb zamajaczyła jakaś postać skulona i stanęła w cieniu nieruchoma.

— Kto to? — zapytał głosem nieco drżącym.

— To ja, wielmożny panie, kowalczanka — odrzekła postać, chyląc się dla ujęcia ręki rządcy.

— I cóż ty? Z tańców, czy na tańce idziesz? — powiedział bez sensu.

— Ale! Na tańce tam! O, ja nieszczęśliwa! — wybuchnęła płaczem żałosnym, prawie dziecinnym.

— Ot masz, Zośka! Nie widziałem cię u roboty, bo ta ci nie przystała niby, jako kowalczance, ale pełno ciebie było zawsze w szkodzie lub przed czworakami na zbytkach i próżniactwie.

— Tatuś mnie do roboty dworskiej nie kazali, bo i w chałupie jej dosyć — tłomaczyła się, łkając.

Wyczerpał już swoją wyższość moralną i powagę, natomiast ogarnęła go żałość bezmierna wobec tego ślicznego dziecka, psutego przez samych rodziców.

— Cóż ojciec myśli i zamierza? — pytał po chwili.

— Tatuś piją w chałupie z jadwokatem i okrutnie pomstują na całuski dwór... — szepnęła.

— Może i na mnie?

— A juści, wielmożny panie.

Uśmiechnął się gorzko i ponownie umilkł. Dziewczę jeszcze chlipało, ale wnet zcichło i stało zakłopotane.

— Niech też mnie pan nie da do tego więzienia! — szepnęła błagalnie.

Uczuł w tej chwili dotknięcie ust jej na swej dłoni, a gdy ją szarpnął pospiesznie, otarł się o jędrne i ciepłe ciało dziewczęce.

Chwilę dygotał, jak w febrze. Wreszcie zmógł się jakkolwiek i rzekł łagodnie i poczciwie, zlekka popychając Zośkę:

— Idź mi zaraz do domu, a powiedz ojcu, żeby jutro rankiem przyszedł do mnie.

— Dobrze, wielmożny panie.

— A pamiętaj, Zośka... pamiętaj na zawsze, że powinnaś być dobra i uczciwa, bo nad taką każdy ma zmiłowanie — dodał głosem zgoła niementorskim.

Dziewczyna przypadła do jego kolan, a on ją ujął obu rękami za twarz płonącą i tak trzymał przez chwilę, zlekka ściskając.

— Idź już — szepnął głosem zdławionym.

Pierzchnęli oboje, niby dwa cienie.

Dobry wieczór panu! — zaskrzeczała nieco dalej panna Katarzyna.

— Dobry wieczór... — mruknął niechętnie. Aha! proszę też, żeby na przyszłość nie powtarzały się skargi o to, że panna dajesz zbierane mleko do barszczu, co miało miejsce dzisiaj.

— A skądże ja wezmę śmietanki do lodów na stół? — zaskrzeczała dotknięta.

— Wziąć kwit od pani i z nim do pisarza.

— Ani myślę! — Pan rządca to widzę nie z każdym potrafi grzecznie pogadać — wrzasnęła jeszcze głośniej, widząc młodzieńca już w pewnej odległości.

On poszedł dalej ku czworakom. Z najbliższych, arystokratycznych, bo zamieszkałych przez służbę osobistą dworu, doleciał go odgłos jakiejś waśni.

— Ślepie ci, chyclu, wydrapię, łeb żeleźniakiem rozwalę, nie dam żreć aż potąd, nim końca z tą służbą nie będzie! — rozlegał się głos czysty i silny z piersi kobiecej.

— Jaguś ty moja, jagódko serdeczna! — pokornie odpowiadał olbrzymi Barteczek i ruszył ku dworowi.

A kejże ty idziesz gudłaju? — huczała swarliwa małżonka.

— Układę się gdzieniebądź w stajni i spokój, kiej mę żeniosz z oczu.

— O, moi ludzie, skaranie boże z tym chłopem czy co? A nie masz że to chałupy, nie masz to posłania u siebie? — lamentowała rozgłośnie.

Olbrzym, snadź nawykły do podobnej logiki umiłowanej Jagusi, zawrócił posłusznie, mówiąc od niechcenia.

— A dyć idę, moja Jaguś, a o służbie mi nie gadaj, bo cię zeklnę złem słowem, czy jak.

Pan rządca wrócił do siebie nieco spokojniejszy, choć nie zdawał sobie sprawy, jak się rzeczy ułożą.

(C. d. n.).

gmachu. Obecny wybór świadczy, że dotąd jeszcze nie zniknął wpływ tego człowieka na umysły uczonego Krakowa, że polityka stańczyków, którym przy obecnym neokonserwatywnym zwrocie nieraz niewygodnym być musi, obejść się bez niego nie może. Rok szkolny zainaugurował nowy rektor odczytem o literaturze polskiej w XIX wieku.

Zadanie rozpowszechniania nauki uniwersyteckiej podejmuje na rok bieżący niedawno zawiązane w Krakowie Towarzystwo uniwersytetu ludowego, sprowadzając wiedzę z uczonego Olimpu do prostaczków. Wykłady rozpoczną się w przyszłym miesiącu, a obliczone są na warstwy najmniej przygotowane i głównie przez większą swoją popularność odróżniać się będą od dotychczasowych wykładów, urządzanych przez Tow. szkoły ludowej. Próba popularyzowania wiedzy robioną już była w ciągu lat trzech i udawała się dobrze, ściągając liczne zastępy słuchaczów. Obecnie chodzi o to, aby dotrzeć do warstw robotniczych i wśród nich pobudzić żywsze tętno życia umysłowego.

Panie z Czytelni dla kobiet urządzają również wykłady pod nazwą „naukowych." W pierwszych miesiącach wykładać będą: prof. Lutosławski filozofię, oraz p. Wł. M. Kozłowski zasady kształcenia samego siebie.

Z NIEMIEC.

Berlin, 21 października.

Obrady zjazdu Stowarzyszenia dla polityki społecznej.

„Żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgnąć nowe." W tych słowach znanego dwuwiersza Asnyka można streścić rezultat obrad tegorocznego zjazdu powszechnie znanego „Stowarzyszenia dla polityki społecznej." Po raz pierwszy od lat 25-ciu swego istnienia ta wpływowa w świecie naukowym instytucya oświadczyła bez osłonek i ogródek sentymentalnych, iż starodawne formy ekonomiczne nie mogą żądać od państwa eliksirów życiowych, które przywróciłyby im młodość i rozkwit. Tegoroczny zjazd jeszcze pod innym względem zwrócił na siebie powszechną uwagę. Stowarzyszenie, zaprzeczając zdawkowemu poglądowi, iż uczony już z powołania jest przysięgłym obrońcą rzeczywistości, dało do zrozumienia, jakiego jest zdania o polityce Stummowskiej, która gwałtem chciałaby powstrzymać koło historyi, będące w rozpędzie rozwojowym.

Przewodniczący prof. Schmoller naprzód przedstawił sprawozdanie z dotychczasowej działalności stowarzyszenia. Pracę swą wcieliło ono w 87 foliałach naukowych, które zawierają materyał zaczerpnięty bądź ze skarbnicy życiowej, bądź ze statystyki urzędowej i dotyczący wszelkich zagadnień społecznych, które od ćwierć wieku ukazywały się na widnokręgu myśli społecznej. Instytucya, zrzekając się zapomogi rządowej, musiała wprawdzie zacieśnić pole swych badań, lecz dzięki materyalnej niezależności umożliwiła sobie wyrobienie samodzielnego sądu i rzeczowego stanowiska w dziedzinie społecznej. Stowarzyszenie składa się ze wszystkich prawie profesorów ekonomii politycznej Niemiec i Austryi, oraz licznych prezesów izb handlowych, fabrykantów i wogóle osób prywatnych, którym leży na sercu sprawa społeczna. Stoi ono ponad zwaśnionemi grupami i łączy się z niemi lub oświadcza się przeciwko ich pretensyom nie na mocy egoistycznego widzimisię, lecz w imię wyższej sprawiedliwości. I oto przez wzgląd na dobro całego społeczeństwa ostrzega ono teraz rząd przed machinacyami kliki Stummowskiej. Jakiegokolwiek będziemy zdania o prądach nurtujących w łonie ludu — woła! Schmoller — musimy powitać je jako pocieszający objaw przebudzenia się ze śpiączki umysłowej i apatyi społecznej. Na mowę tę odpowiedział przedstawiciel rządu, książę Hatzfeld, w nader ciepłych wyrazach.

Sprawozdawcy przesunęli przed nami obraz dogasania przestarzałych form ekonomicznych, jak: przemysł domowy, handel roznosicielski i drobno - kramikarski. Przemysł domowy, który jak błędny ognik wybucha tu i owdzie na bagnach nędzy, szukając przytułku w głuchych zakątkach o biednej, bezradnej ludności, sprawia wielkie kłopoty prawodawstwu, które nie widzi sposobu wtłoczenia tego wieloramiennego polipa w szranki ustaw, a tymczasem - jak zaznaczył prof. Filipowicz — przemysł ten wymaga na całym świecie ostrej kontroli rządowej. Zdaniem b. ministra Berlepscha, marnują tu do szczętu swe siły dziesiątki tysięcy nieboraków za lichy zarobek, niepokrywający kosztów utrzymania, a ileż ginie w tej sferze kwiatów ludzkich, które zaledwie puściły swe pierwsze pączki! Już przed dwoma laty komisya rządowa, przerażona stanem zdrowotnym krawczyń i szwaczek berlińskich, zaprojektowała, niestety, bez skutku— utworzenie wielkich warsztatów, aby w ten sposób uwolnić zarówno konfekcyonistów, jak najmitki od stawek pośredników.

Drugi punkt obrad dotyczył handlu wędrownego. Jako pozostałość po starych, pięknych czasach znajduje się on w stanie szczątkowym. Pomimo iż zajęcie to zatrudnia około 150 tys. osób w Niemczech, można śmiało orzec, iż ta przedpotopowa forma handlu straciła zupełnie racyę bytu. Odczuwają to dość boleśnie jej przedstawiciele. Obarczony ciężarem 150 funtów, wlecze się handlarz od wsi do wsi, na skwarze, mrozie i deszczu, często wypraszany za drzwi gestem, czynem lub psami. Istnieją trzy rodzaje roznosicieli. Jedni sprzedają wyroby własnych rąk, drudzy wędrują z polecenia wielkich firm, inni znowu posługują się tym procederem dla popełniania kradzieży lub wyłudzania jałmużny. Są gałęzie, które zawdzięczają sporą część zbytu roznosicielom. Dziedzina np. kolporterów księgarstwa, rozpowszechniającego miliony książek, romansideł i wszelkiej makulatury literackiej, trzyma się, a nawet kwitnie jedynie dzięki swym sprytnym miodopłynnym agencyom wędrownym.

Środek ciężkości zjazdu tegorocznego tkwił w odczycie prof. Sombarta o przewrocie w nowoczesnym handlu detalicznym. Ofiary, dotknięte temi zmianami, nietylko nie chcą pogodzić się z faktem dokonanym, ale w ostatnich czasach zdołały nawet pociągnąć za sobą rząd niemiecki. Minister finansów przyrzekł kilkakrotnie powstrzymać zalew bazarów tamami prawnemi. Na równi ze sklepikarzami kładą rzemieślnicy swą ruinę na karb wielkich magazynów. Projektują oni wprost dziecinne środki i szykany, aby zalać sadła za skórę swym współzawodnikom. To też odczyt Sombarta, jego szczere wyznanie o bezcelowości i niesłuszności kampanii średniego stanu, wywarły olbrzymie wrażenie. Rozwój wielkiej produkcyi i podniesienie stopy życiowej ludu sprzyjały nowoczesnemu przeistoczeniu handlu detalicznego. Sklepikarz starej daty nie wykraczał nigdy z toru tradycyi, wyczekując u siebie w sklepie wizyty kundmana. Dziś przeciwnie handel stara się opłatać klienta siecią wabików, reklam i zachęt. Rozwielmożnienie się wielkiej produkcyi, jej bajeczna obfitość wytworów zmuszają kupca do natarczywości i narzucania swych usług. Zasada, kierująca współczesnym handlem, brzmi: wielkie obroty przy małym zysku. Klienta zdobytego fortelami i umizgami ogłoszeniowymi usiłuje handel przyciągnąć do siebie sumiennością i uprzejmością. Stąd np. niejednostajnianie raz wprowadzonych z powodzeniem gatunków towarowych, hojne szafowanie udogodnieniami (np. przesyłka kupionego towaru na własny koszt, bezpłatne fotografowanie klienta i t. p.). Niektórzy oddają pierwszeństwo staromodnemu handlowi, gdyż tradycya i ślimaczy spokój były dla niego najwyższem prawem; publiczność jednak stoi bezwarunkowo po stronie nowoczesnych bazarów, które w nieustannej gorączce przemyśliwają o wygodach kupującej publiczności. Ta staranność i uprzejmość praktykują się nawet w tej sferze, która ciągnie swe soki ożywcze wyłącznie z klienteli ubogiej. Charakterystyczną dla nowoczesnego handlu jest wybujała specyalizacya: mamy sklepy nabiału, ryb, kwiatów, bicyklów itp. Podczas gdy większe składy dawniejszych czasów kombinowały swe gatunki na podstawie ich pochodzenia (towary norymberskie, kolonialne), dzisiejsze sklepy większego kalibru grupują się podług rodzajów zapotrzebowania ludzkiego. Nigdzie nie toczy się taka zażarta wojna wszystkich przeciwko wszystkim, jak w handlu. Hurtownik radby usunąć detalistę, obaj łączą się przeciwko agentom i pośrednikom, wszystkich zaś chciałby połknąć lub wyprzeć wytwórca, otwierając wszędzie własne filie i składy. Publiczność oczywiście na tem korzysta, a właściwie nie zadawalając się zyskanemi wygodami, organizuje się na własną rękę w formie stowarzyszeń spożywczych. Tylko naiwni Don Kiszotowie mogą oddawać się złudzeniu, że pociągnięciem pióra lub za pomocą kohorty „schutzmannów" daloby się skierować potok historyczny w nowe koryto. Apelacyą do sprawiedliwości trudno tu coś wskórać; wymierające lub wsteczne formy ekonomiczne, o ile nie przystosują się do nowych warunków, ulegną niechybnej zagładzie. Kilku członków starało się zbić poglądy, jakoby stary handel był skrupulatniejszym i uczciwszym od dzisiejszego. Przesadną rzetelnością nigdy nie grzeszył detaliczny. W muzeach miast hanzeatyckich zachowują się dwojakiego rodzaju wagi, jakiemi posługiwano się w razie sprzedaży lub zakupu wraz z odnośnymi przepisami dla subjektów, ostrzegającymi przed pomieszaniem obu rodzajów. Starszy burmistrz Wrocławia przytoczył dokument Toruński z r. 1523, brzmiący: „Niechaj żaden rzemieślnik nie waży się wymyślać lub odkrywać czegoś nowego, lecz niechaj przez miłość obywatelską idzie każdy za przykładem swego bliźniego." Ustęp ten odczytano przy salwach śmiechu gości kongresowych. W związku z tą kwestyą wywiązały się gorące rozprawy z powodu stowarzyszeń spożywczych. Jakośmy niedawno pisali, znajdują się one w Niemczech w stanie niesłychanego rozkwitu. Referent, prof. Rathgen, upatruje w nich szerzycieli oszczędności i hygienicznego rygoru. Prawo, zakazując sprzedaży osobom nienależącym do pocztu członków, przyczyniło się silniej do rozwoju tych stowarzyszeń we wszystkich okolicach prowincyonalnych. Zakres ich działalności rozszerzył się tak daleko, iż przedstawiciele handlu uderzają coraz gwałtowniej w dzwony prasowe. Nawet kilka izb handlowych zaproponowało opodatkowanie dochodów tych instytucyj, co podkopałoby do gruntu ich egzystencyę. Zjazd energicznie napiętnował wrogie manewry i podszczuwanie opinii publicznej przeciwko sympatycznym i demokratycznym stowarzyszeniom spożywczym.

H. F.

MŁODZIEŻ FRANCUSKA I ANGIELSKA.

II.

Wpływ Anglii na Francyę był zawsze wielki, w niej to powstawały prądy umysłowe, które następnie rozchodziły się spopularyzowane po świecie, w niej Locke, Hume i cała grupa myślicieli dała początek filozofii encyklopedystów i pojęciom, które były hasłem wielkiej rewolucyi francuskiej. Na Anglię zapatrywała się Francya, ogłaszając prawa człowieka. Ponieważ zawsze czerpała tam swoje idee, nic dziw, że dzisiaj tam także szuka nowego typu szkolnego i chce się na nim wzorować.

Przykłady szkolnictwa dwóch narodów, jakie daje Desmolins, wypadają na korzyść Anglii, ale przy rozpatrzeniu się w programie szkoły w Abbotsholm, staje się rzeczą widoczną, iż kierownik jej miał głównie na myśli kształcenie późniejszych kolonistów, którzy pozostawieni własnym siłom, mogliby wszędzie dać sobie radę. Nasuwa się ważna wątpliwość, czy takiem być powinno zadanie szkoły i czy typ ten odpowiadałby potrzebom młodzieży francuskiej?

Sam Desmolins powiedział bardzo słusznie, iż „każdy naród powinien wyrobić sobie szkolnictwo właściwe.“ A więc przeniesienie gotowej instytucyi z kraju rdzennie odmiennego nie mogłoby okazać się korzystnem w praktyce. Widoczny jest tutaj brak inicyatywy, właściwej Francuzom, w samej myśli postawienia jako wzoru szkoły angielskiej.

Pomijając przecież ten fakt, uważać można za rzecz znamienną absolutne potępienie dzisiejszego systematu szkolnego we Francyi, gdyż świadczy ono o radykalnej zmianie pojęć.

Potępienie to nie ogranicza się do szkół męzkich: wychowanie kobiety, szczupły zasób wiedzy, jakie jej daje dom i szkoła, oraz położenie wyrobione obyczajem, podlega równej krytyce, jeśli nie w specyalnych książkach, to przynajmniej w tendencyjnych powieściach, popularyzujących nowatorstwa.

Jeśli młodzież męzka we Francyi i Anglii przedstawia uderzające różnice, występują one stokroć jaskrawiej w młodzieży żeńskiej. Położenie panny po dwóch stronach cieśniny Kaletańskiej jest, jak wiadomo, tak odmienne, jak gdyby pochodziły co najmniej z dwu oddalonych od siebie części świata. To, co uważanem jest za sztuczne i prawidłowe dla jednej, drugiej nie uchodzi pod żadnym względem, gdy dążeniem Anglii jest wyrobić kobietę na istotę, któraby mogła sama w życiu dać sobie radę, Francuzi chcą ją mieć zawsze małoletnią.

Jeszcze w r. 1698 Defoe znany głównie u nas jako twórca „Robinsona Cruzoe“ wydał bezimiennie szczupłą książkę „Essay on projects,“ w której z dziwnem jasnowidzeniem wypowiedziane są wszystkie niemal wymagania naszego wieku. Wiele z nich pozostało dotąd w dziedzinie marzeń. Pomiędzy innemi, Defoe uważał za rzecz konieczną kształcenie dziewcząt na równi z chłopcami, przyznawał równość umysłową dwóch płci, przyczem wykazywał dosadnie krzywdy, jakie społeczeństwa sobie wyrządzają, skazując połowę ludzkości na wiekuistą niedojrzałość.

Żądania Defoëgo przeszły na razie bez echa. Prawa angielskie zaś były dla kobiety jeszcze niesprawiedliwsze, niż kodeks Napoleona. Aż do ostatnich czasów mąż był zupełnym panem majątku ruchomego żony, a z nieruchomego miał prawo korzystać. Dopiero w r. 1882 tak zwany „Woomen property act“ uwolnił do pewnego stopnia żonę z absolutnej majątkowej kurateli męża. Powoli jednak racyonalne wychowanie, swoboda, jaką nadawały niezamężnej obyczaje, przeciwważyły złe prawa, bo kobieta mając sposobność poznania świata i ludzi, wybierała rozważnie towarzysza życia, a jeśli nie spotkała takiego, jakiego pragnęła, zachowywała swoją niezależność, gdyż rozumiała dobrze, jakie brała obowiązki i co traciła. Nie dziw więc, iż raz uznawszy potrzebę reform w wykształceniu kobiety, Francuzi szukają dla niego wzoru w Anglii. I w tym kierunku można zacytować cały szereg powieści tendencyjnych.

Jeszcze Oktawiusz Feuillet, za czasów drugiego cesarstwa, jakkolwiek powstawał absolutnie przeciw wyższej wiedzy dla kobiety, utrzymując w powieści „La morte,“ że taka wiedza musi ją koniecznie doprowadzić do zbrodni, przedstawił w innej *(Un mariage parisen)* żonę nieszczęśliwą w pożyciu, gdyż jej dziecinna niewiadomość raziła wykształconego męża. Za poradą kogoś z rodziny bohaterka wyjeżdża na parę miesięcy do Anglii, wraca stamtąd zupełnie równa umysłowo mężowi i odzyskuje szczęście domowe.

Pomijając wielką naiwność autora, uderza tu zwrot do Anglii, w której kobieta może dopełnić wszystkich braków swego wykształcenia i to w tak krótkim czasie. Oczywiście więc stamtąd ma dla niej zabłysnąć jutrzenka wiedzy.

Trudno byłoby wyliczyć wszystkie utwory pisane w tymże duchu, poprzestanę na paru najświeższych.

Znana spółka literacka Paweł Wiktor Margueritte w powieści „La femme nouvelle“ opisuje młodą dziewczynę ze sfery przemysłowej, która mając w Anglii zamężną kuzynkę, stanęła odrazu na gruncie nowożytnym, pozbyła się wszystkich przywar swoich rodaczek i nauczyła trzeźwo patrzeć.

Panna Helena, jakkolwiek jest wzorem córki, siostry, krewnej, martwi srodze swoich najbliższych. Naprzód będąc pełnoletnią, wycofuje swój osobisty majątek z fabryki stryja, chociaż rentował doskonale, gdyż uważała, iż większa część renty pochodzi z wyzysku robotników, a następnie — rzecz daleko bardziej gorsząca — nie przyjmuje odrazu świetnej partyi, jaka jej się zdarza, ale chce dobrze poznać człowieka, który jednak zręcznem postępowaniem powoli zdobywa jej serce.

Lekkomyślność obyczajów francuskich, zdrada małżeńska obyczajowo - uprawniona, a nadewszystko głębokie lekceważenie kobiety, pokrywane zdawkową grzecznością, uderzają i ranią boleśnie bohaterkę, gdyż w Anglii nauczyła się dobadywać prawdy pod światowym pozorem, więc się nim złudzić nie da.

Nieufność Heleny jest aż nadto usprawiedliwiona: świetny i niby bogaty wicehrabia, który potrafił jej się podobać, okazuje się zrujnowanym rozpustnikiem, szukającym tylko posagu. Przekonywa się ona dowodnie, że jego miłość jest równie podrabiana, jak majątek i charakter. Tak samo rzecz się ma z pozornie sympatycznym malarzem, który także starał się o jej rękę.

Panowie Margueritte nie żałują barw ponurych, malując dzisiejszych Francuzów. Fałsz, nikczemność, brutalstwo występują w każdym osobniku płci męzkiej pod pokostem światowym. Brat Heleny w stosunku do siostry nie okazuje się lepszym od innych, nie może jej darować przenikliwości, prawości, siły charakteru, jakkolwiek stosuje się ona do przyjętych obyczajów we wszystkiem, co się nie tyczy rzeczy zasadniczych.

Ostatecznie Helena poślubia Anglika, który zrazu wydawał jej się szorstkim, poznawszy go jednak bliżej, oddaje sprawiedliwość zalotom gruntownym i powierza mu swą przyszłość z ufnością.

Inna bohaterka współczesnej powieści „Laureate,“ wyszłej z pod kobiecego pióra, pani Pert, rozumem, uzdolnieniem, charakterem równa jest mężczyźnie, pracuje pożytecznie i produkcyjnie w księgarni, której jest współwłaścicielką. Jest przytem dobra, młoda, piękna, wytworna, ale człowiek ukochany przez nią porzuca ją dla brzydszej, ograniczonej, przewrotnej, mniej bogatej nawet kokietki, gdyż ta jest w jego oczach prawdziwą kobietą. Przyzwyczaił się do podobnych, taką tylko pojmuje.

Żona, która wybiera, będzie go oszukiwać, wyzyskiwać, rujnować. W razie nieszczęścia nie znajdzie w niej pomocy, ani wsparcia, ale za to nie będzie miała pretensyi do równości umysłowej, nie będzie kontrolowała jego czynów, będzie mógł on także okłamywać ją, ile tylko zechce i zbroić się w swoją męzką powagę, której żona będzie ulegać przynajmniej pozornie.

Te dwie powieści, napisane przez autorów głęboko przekonanych o potrzebie reform, doprowadzają jednak bohaterki do jednakiego rezultatu. Ani jedna, ani druga nie znajdują odpowiedniego męża we własnem społeczeństwie, ponad które zbyt wysoko urosły. Rezultat ten nie będzie dla Francuzek zachęcającym.

Ostatecznie jednak zadaniem reformatorów jest raczej co do kobiet zmiana obyczajów, niż szkolnictwa, a chociaż rzeczy te są ściśle związane, łatwiej daleko byłoby poprawić drugie, niż pierwsze.

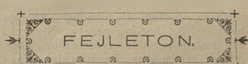
Zasadnicza różnica pomiędzy Francuzką a Angielką jest ta, iż dla Francuzki małżeństwo jest celem jedynym, dla Angielki zaś jednym z celów życia.

Wiele kobiet w Anglii nie lęka się staropanieństwa. W powieściach np. występują coraz częściej bohaterki, których nawet miłość nie może nagiąć do małżeństwa, bo upatrują w niem — słusznie, czy nie — w dzisiejszych stosunkach coś poniżającego dla kobiety. Otrzymują one z łatwością posady, zabezpieczające możność istnienia, a chociaż niezamężne, nie są ani wykolejone, ani ośmieszone. Przytem dodać trzeba, iż panna słusznie używa w Anglii daleko większej swobody od mężatki, na której ciężą obowiązki rodzinne.

We Francyi zarobki kobiet są więcej ograniczone: pracują głównie w handlu, od niedawna mogą otrzymać stanowisko wyższej nauczycielki w szkołach żeńskich, a kwestya obyczajowa wikła się z kwestyą ekonomiczną, bo małżeństwo dopiero daje kobiecie swobodę i znaczenie. Wszystko więc, co je ułatwia, musi służyć za normę, bo zadaniem wychowania jest urobić kobietę wedle upodobań mężczyzny. Nie idzie jej w małżeństwie o gwarancyę szczęścia, ale o małżeństwo, rozumie się, jak najkorzystniejsze, bo ono jedno zapewnia jej swobodę i środki utrzymania.

W takich pojęciach wzrastają dziewczęta. Tworzy się więc tym sposobem położenie bez wyjścia i trzebaby długich usiłowań, albo też nieprzewidzianych wypadków, ażeby wymagania pewnej części inteligencyi francuskiej urzeczywistnione zostały.

Walerya Marrene-Morzkowska.



LIBERUM VETO.

Wymowna ruina.

Niewiele jest lekcyj bardziej pouczających, niż olbrzymie procesy karne. Wydobywają one na wierzch z życia jednostek i ogółu głęboko ukryte tajemnice, ciężkie winy i krzywdy, które

nurtują w łonie społeczeństwa jako jego rozkładowe i niszczące siły, nieraz długo osłaniane z rachuby, wstydu lub nieświadomości. Uczucia, wywołane widokiem takich pękniętych i wycinanych wrzodów, są zawsze bardzo bolesne i wahają się między smutkiem a wstrętem, ale skutki bywają dobroczynne. Spojrzenie bowiem wewnątrz cierpiącego organizmu pozwala zbadać przyczyny jego choroby i łatwiej je usunąć.

Proces Kasy oszczędności we Lwowie należy do tego rodzaju lekcyj. Wyciągnięto z niego już wiele wniosków, zdaje mi się wszakże, że jeden i to najważniejszy nie został należycie ustalony i oceniony. Na tle tej ponurej sprawy najsilniej odbija się postać człowieka dzielnego, sympatycznego, niedawno jeszcze świecącego meteorycznym blaskiem — Szczepanowskiego. Czytelnicy nasi zapewnie pamiętają głębokie i zaznaczone w *Prawdzie* wstrząsające wrażenie, jakie sprawiła jego broszura p. t. „Nędza w Galicyi.“ Napisał on ją z płomiennem uczuciem proroka, który opłakuje niedolę swego ludu, przepowiada mu niechybną zgubę i wskazuje drogę ocalenia. Głos ten był w wielu swych tonach przeciągnięty ponad należytą miarę, tu i owdzie brzmiał zbyt namiętnie i paradoksalnie, ale naczelna jego idea była słuszną i rozumną: Galicya nie szuka szczęścia w owocach pracy niezależnej i produkcyjnej, lecz w mizernej i wyżebrywanej służbie; jeżeli chce więc dźwignąć się z upadku, musi za przykładem wszystkich tęgich i ucywilizowanych narodów zwrócić się do wytwarzania bogactw. Rachunkiem dowodził Szczepanowski, że wszystkie zdobywane z takim mozołem pensye rozmaitych urzędników galicyjskich nie wyrównywają dochodom jednego magnata angielskiego, że największe wysiłki ogółu skierowane są ku najlichszym celom i wynikom materyalnym, że społeczeństwo zubożałe nie posiada żadnej dzielności, a hodując przeważnie ludzi zależnych, nie kształci obywateli kraju, lecz niewolników. Było to targnięcie zbawienne, a przytem bardzo silne, nic też dziwnego, że Sawanarola ekonomiczny ściągnął na siebie powszechną uwagę i że w nim ujrzano zbawcę. Dziwnym trafem Galicya w krótkim stosunkowo czasie dwukrotnie była tak szarpniętą za nerwy. Przed Szczepanowskim zrobił to Sygurd Wiśniowski. I on również przybył do kraju po dłuższym pobycie w Anglii, i on stamtąd przywiózł wzory pracy, i on poddał stosunki miejscowe ostrej krytyce, i on wreszcie chciał okazać praktycznie wartość swych rad, i on nawet próbował rozwijać przemysł galicyjski za pomocą nafty. Także skończył zawodem, tylko w mniejszych rozmiarach, bo w mniejszych podjął swe przedsięwzięcie. Już doświadczenie Wiśniowskiego miało swoją cichą wymowę, ale dopiero doświadczenie Szczepanowskiego wydało potężny krzyk.

Jacy to byli ludzie? W czem tkwiła przyczyna niepowodzeń, a u ostatniego — przewinień? Czy mamy przed sobą narwańców, półgłówków, niesumiennych krętaczów lub naiwnych deklamatorów? Nie— są to marzyciele, popełniający ogromną i widoczną omyłkę. Psychologia Szczepanowskiego jest bardzo prosta. Nie był to wcale żaden geniusz, reformator, umysł potężny i oryginalny. Bynajmniej. Był to człowiek rozumny i uczciwy, który przebywając za granicą, a zwłaszcza śród narodu obdarzonego najwyższą zdolnością wytwórczą, uległ tym samym wrażeniom, których doznaje każdy z nas w podróży po Europie: wrażeniom smutku z porównania wspaniałych postaci życia na obczyźnie z ubóstwem ojczystych i porywom chęci zrobienia czegoś u siebie dla usunięcia tej przygnębiającej różnicy. Szczepanowski widział w Anglii kolosalny dobrobyt, śmiałą i niezmordowaną przedsiębiorczość, niezmiernie wytężoną i płodną działalność prywatną, która sobie wyłącznie ufa, na siebie liczy i sobie wszystko zawdzięcza, widział to mocne pulsowanie energii, które świat zdumiewa, widział w ciągłej pracy i ciągłych tryumfach wielki naród, który nie szuka szczęścia i dostatku w posadach, urzędach, w mizernych zarobkach na służbie, ale w rzutach i wysiłkach samodzielnych. A kiedy olśniony tym obrazem wzrok przeniósł do rodzinnego kraju, do Galicyi, ujrzał straszliwe, chyba największe, jakie w Europie istnieje, przeciwieństwo. Było to przejście z czarodziejskiego pałacu do brudnej i zapadłej chaty, w której mieszkali próżniacy, marnotrawcy, żebracy, wyrobnicy, słowem, nędzarze. Wielu dostrzegło tę okropną różnicę i doświadczyło tego przykrego uczucia, ale każdy poddał mu się biernie i nie uległ pokusie podjęcia tytanicznej pracy wyważenia owej chałupy z jej spróchniałych podwalin i przebudowania jej na gmach w stylu gospodarstwa nowoczesnego. O tem właśnie zamarzył Szczepanowski, przeceniając swoje siły i lekceważąc trudności, a co gorsza, postanowił użyć sposobów, właściwych jedynie w warunkach wysokiej kultury i rozwiniętego życia ekonomicznego, które w pierwocinach galicyjskich nie miały ani tradycyi, ani podstawy, ani uznania. Zdawało mu się, że on odrazu na zoranych, jałowych ugorach i nowinach może uprawiać rośliny, wymagające żyznej gleby i dawnej kultury, że mocą przekonywającego słowa, dobrego przykładu i skrzętnych zabiegów w kraju bezprzemysłowym stworzy wielki przemysł, że bez żadnego niebezpieczeństwa wprawi w ruch martwe i leniwe kapitały, że kredytem dokaże tych cudów, jakie oglądał w Anglii. Była tu gruba omyłka, która skończyła się i musiała skończyć się dla niego i dla jego spólników rozczarowaniem, ruiną i niesławą. Umysł praktyczniejszy byłby ją przewidział; Szczepanowski, jak wszyscy marzyciele, wierzący, że są stwórcami, wpadł niebacznie w jej sidła, które go udusiły. Okazało się bowiem bardzo szybko, że chociaż kraj posiada istotnie w zdrojach nafty olbrzymi skarb, nadający się do rozległej eksploatacyi, nie posiada tego, bez czego największe bogactwa naturalne są niczem, mianowicie odpowiednio uzdolnionych ludzi. Galicya rozwinęła w sobie nieco upodobań i zdatności ludu rolniczego, ale po za tem hodowała w sobie tylko instynkty najmu i służby. Dostać korzystną „posadę“ — to był i jest główny cel dążeń jej ojców i synów. Na tej drodze stała się ona społeczeństwem spożywczem, a nie wytwórczem. Od dziesiątków lat godzi się kornie z zależnością ekonomiczną od innych dzielnic państwa, obojętnie patrzy na straszną nędzę ludu wiejskiego, cierpliwie znosi klęski wylewu nieuregulowanych rzek, dusi się w pętlicach niemiecko-żydowskiego wyzysku, osładzając sobie tę niewolę chwytaniem urzędzików i grą w pozory samorządu. Politykująca aż do ogłupienia, urzędująca aż do służalstwa, niezaradna aż do niedołęztwa, rozszlachcona aż do śmieszności, przekonana, że chociaż powodzie niszczą corocznie tysiące gospodarstw, chociaż ciemny i złupiony podatkami lud ucieka tłumnie do Ameryki, chociaż bieda ogryzła do kości wszystkie stany, oprócz kilku możnowładców, jeśli tylko jakiś „rodak“ będzie trzymał tekę ministeryalną, zamieni się ona w jego ręku na róg obfitości szczęścia — taka kraina przedawnionych form życia i nierozwiniętych uzdolnień kulturalnych nie mogła być gruntem dla przedsięwzięć przemysłowych w wielkim stylu. Mogło na nią tylko od czasu do czasu spadać stado angielskich, niemieckich lub francuskich kruków, które wyszarpawszy łupy odlatywało; ale swojscy ludzie, swojskie kapitały, swojskie czynniki nic zdołają tam dotąd niczego dokonać w szerokiej mierze. Kiedy Szczepanowski rozpoczął dobywać naftę a Zima otwierał mu kredyt w Kasie oszczędności, z pewnością pierwszy z nich ani na chwilę nie przypuszczał, że będzie bankrutem, a drugi — że zostanie fałszerzem. Obaj wierzyli niewątpliwie, że wzniosą wspaniały gmach, w którym obok ich własnej korzyści pomieści się nadzwyczajny pożytek ogółu, a popełniane świadomie matactwa w rachunkach wyprostują się kiedyś bez niczyjej szkody. Te nieprawidłowości uważali oni za konieczne złe w warunkach nieprzyjaznych takiej robocie, a sumienie swoje uspakajali nadzieją, że kręte ścieżki pożyczek zbiegną się w szerokim, jasnym, utorowanym przez nich gościńcu. Było to dziecinne złudzenie, które nieraz opanowywa najdojrzalsze głowy.

Jedyną miarą wartości ludzi występujących na polu zadań praktycznych jest powodzenie. Polityk, przemysłowiec, reformator stosunków ekonomicznych, który został zwyciężony przez okoliczności i runął ze swymi planami, jest partaczem, chociażby mu z głowy tryskały snopy promieni geniuszu. Działalność praktyczna — to nie dzieło naukowe, nie utwór artystyczny, który może czekać na uznanie, który nieoceniony współcześnie może zyskać zasłużoną chwałę w przyszłości. Jest to robota, ograniczona do potrzeb chwili, która nie powraca, i rozporządzająca danym materyałem życia, który się nie powtarza. A więc Szczepanowski pomimo swych wielkich zdolności, śmiałych pomysłów i szlachetnyhh pragnień, nie dorósł do zadania, które podjął.

Z drugiej wszakże strony jego błędne rachuby i zawiedzione nadzieje przekonały dowodnie, że społeczeństwo galicyjskie jest dziś jeszcze zupełną puszczą dla głosu tych, którzyby je chcieli podnieść ekonomicznie, że jest twardą skałą, w którą wielki przemysł nie może zapuścić korzeni, że ono nie umie korzystać nawet z tych bogactw, które mu dała natura. Na takich warunkach musi się podrzeć każda energiczniejsza wola, zbrukać — najczystszy charakter, znieprawić — najszlachetniejsza dążność. Tam wielki rozmach kończy się bankructwem, a przedsiębiorczość — oszustwem, tam ekonomiści przemieniają się na fałszerzy, a marzyciele wpadają do kryminału. W każdym kraju bardziej rozwiniętym kulturalnie Szczepanowskiego odsunięto by od bezpośredniego kierowania interesami, ale nie pozwolonoby jego dziełu upaść, a jemu zatonąć w lichwiarskich długach i kredytowem błocie; w Galicyi zmarnowano, zniszczono i zniesławiono dzielnego i zacnego człowieka, a na gruzach jego gmachu postawiono stół sądu kryminalnego. Niech z tego procesu wyciągnie dla siebie naukę nie Szczepanowski, którego chore, dogorywające serce przedłuża już tylko swe drgnienia wysiłkiem obrony przed hańbą, ale to społeczeństwo, które dłużej od niego żyć będzie i o zachowaniu swego bytu myśleć musi.

Poseł Prawdy.



PRZYRODOZNAWSTWO.

Henryk Merczyng: *Dumania przyrodnicze*, Petersburg, K. Grendyszyński, 1900.

Autor należy do poważnych, niemałym rozgłosem cieszących się badaczów i pracowników na polu przyrodoznawstwa. Nie przypuszczaliśmy zatem, aby go mogło skusić zadanie zamknę-

cia w kilkudziesięciu kartkach drobnej ósemki tylu różnorodnych i rozległych kwestyj naukowych, przeważnie hypotetyjnych. Aż siedem „dumań" nad losami ziemi i wszechświata w objęciach wieczności i nieskończoności, a wszystko razem na 134 miniaturowych stroniczkach!

Największa z rozpraw p. t. „Eter" ma na celu — powiada Merczyng — „przedstawienie czytelnikowi ostatnich wyników naukowych mechaniki eteru z dziedziny światła i elektryczności — o ile to wogóle jest możliwem w formie dostępnej." Nie, nie jest to możliwem. Sprzeciwia się temu niezmierny obszar przedmiotu, wobec którego narzucona wykładowi zwięzłość nieodbicie wystawia wysłowienie na niebezpieczeństwo ciągłego niemal kaleczenia się. Że autor dokładnie zna rzeczy, o których mówi, to nie ulega żadnej wątpliwości — ale tem gorzej właśnie: mniejsza wiedza możeby jakoś wygodniej pomieściła się w tych ciasnych, lilipucich ramkach. Tak np. czytamy w jednem miejscu, że bezwzględna próżnia nie może być przez nas „fizycznie pomyślaną," jak gdyby cokolwiek mogło być w ten sposób pomyślane. W porównaniach i przenośniach, przeznaczonych ułatwiać zrozumienie określeń oderwanych, stylistyka staje się bardziej niesprawną. Eter kosmiczny (międzyplanetarny) jest to płyn przepuszczalny, rozcieńczony do nieskończoności (gęstość jego „powinna" być „wiele milionów razy mniejszą od gęstości wody"), a jednakże, współrzędnie, jest to żywioł tak dalece sprężysty („sztywny"), że fizycy angielscy „upodobniają go do galarety lub smoły bardzo gęstej." Tłomacząc własności eteru wypływające z tego skojarzenia formuł obrazowych, autor powiada: „ciała podobne nie przedstawiają prawie żadnego oporu, jeżeli się przez nie przesuwa jakiekolwiek inne ciało; wysiłom jednak skręcającym, *galareta pewien opór sprężysty przedstawia tak, że drgania poprzeczne przez ciała galaretowe przechodzić mogą*" (99). Wygląda to tak, jak gdyby prosty, naturalny szyk wyrazów umyślnie połamano tu w celu, ażeby fizycznie nawet dać uczuć trudną, uciążliwą rolę eteru międzyplanetarnego. A jeżeli teraz nadmienimy, że ów płyn sztywny choć nieważki, niezmiernie oporny na ruchy śrubowe i zarazem bezdennie subtelny i ustępczy dla ruchów w linii prostej, posiada jeszcze konstytucyę tak złożoną, misterną, że pełniąc we wszechświecie rolę środowiska powszechnego, różnicuje swe drgania inaczej wtedy, gdy promienie gwiazd przepuszcza ku nam pod postacią światła, inaczej gdy nas ciepłem obdarza, a jeszcze inaczej gdy elektrycznymi pociskami ziemię razi, wówczas będziemy mieli niejakie wyobrażenie o niepodobieństwie pobieżnego bodaj uwydatnienia tego wszystkiego na kilkunastu kartkach.

Reszta zagadnień przedstawia się znacznie dostępniej. Prześlicznem jest naukowe stwierdzenie fizyko-matematycznych zdolności Prusa, który w „Emancypantkach" ściśle i zgodnie z obliczeniami astronomicznemi rozstrzygnął zagadnienie, jakiby był koniec istnienia naszego na ziemi (nie zaś „koniec świata," jak się autor pobłażająco dla utartej terminologii wyraził), gdyby nastąpił potop powszechny, spowodowany odwiedzinami u nas, w sąsiedztwie naszem, uranolitu „równego ziemi pod względem wielkości i miary, a biegnącego z chyżością trzydziestu wiorst na sekundę, to jest z chyżością biegu ziemi naokoło słońca — przyczem uranolit zbliżyłby się do ziemi w najbliższym punkcie swojego biegu na pół odległości księżyca od ziemi."

W rozprawie o słońcu eter wchodzi nam znowuż w drogę, lecz tylko w widokach zaznaczenia, że na jego skrzydłach promieniście rozchodzą się fale świetlne, rozpraszające ciemności, oraz fale cieplne, stanowiące źródło *prawie* wszelakiego ruchu, wszelkiej energii fizycznej na powierzchni ziemi. Owo „prawie" stąd pochodzi, że słońce, oprócz oświetlania i ogrzewania ziemi (za pośrednictwem eteru), posiada własność trzymania jej przy sobie na uwięzi za powocą nieznanego nam procesu fizycznego, zwanego przyciąganiem. Z powodu ukazania się w początku lutego 1892 r. nowej, niewidzialnej przedtem gwiazdki w konstelacyi Woźnicy, autor powiada, że „mamy tu prawdopodobnie do czynienia ze strasznem uderzeniem się dwóch globów o siebie, przyczem wytworzone niezmierne ilości ciepła wystarczyłyby dla wprowadzenia jednego z ciał całkowicie, a drugiego częściowo w stan rozpalonego gazu" — jednocześnie wszakże p. M. przypuszcza, że „być może zupełne uderzenie nie nastąpiło, lecz tylko jedno ciało, obracając się dokoła drugiego," podeszło do niego... za blizko (49). Skutek ten sprawiłby wywiązujące się wybuchy wulkanów, wobec których wulkany Wezuwiusza lub Etny są zabawką dziecinną... I słówkiem o tych wulkanach autor zamyka dumanie, rzucając widza katastrofy na pastwę najrozmaitszych domysłów.

Powtarzamy: niemożliwego zadania podjął się p. Merczyng. Skreślić historyę Polski w tysiącu wyrazach, to jeszcze— przypuśćmy, można; ale historyę wszechświata — nie. Co p. M. chce np., aby czytelnik zrobił z jego stuwierszową rozprawą o „Śmierci kosmicznej"? W artykule wstępnym („Różne drogi") autor wyprowadza szereg wielkich uogólnień przyrodoznawczych, zwanych prawami ciążenia, niezniszczalności materyi, zachowania sił, ewolucyjnej tych sił zamienności; a obok tego utrzymuje w „Śmierci kosmicznej," na mocy orzeczenia Thomsona i Clausiusa, że „kiedyś wszelki ruch na wszechświecie ustanie i wszystkie ciała będą jednej temperatury, a wtedy ustanie byt jako taki, gdyż bez ruchu i zmiany nie jest on dla nas *subjektywnie wyobrażalnym*; będzie to już koniec absolutny, bezwzględny... i zostanie tylko bytu zagadka sfinksowa— bez odpowiedzi" (63). Owszem, odpowiedź jest: w pomienionych przesłankach autora, w jego „Różnych drogach." Zapewne, gdyby czytelnik równie dobrze, jak p. M., znał Thompsona i Clausiusa, możeby ze swego umysłu wyrugował znaczenie wyrazów takich, jak „niezniszczalność materyi," „zachowanie sił," równowartych z postulatami nieskończoności, wieczności, nieśmiertelności bytu itd. Ale o Thomsonie i Clausiusu mamy w „Dumaniach" tyle, co nic. Z konieczności tedy zawracamy—*ab ovo*— do praw znanych, przyjętych, niezaprzeczonych, wymienionych w „Różnych drogach."

K. Włostowski.

LITERATURA I SZTUKA.

NOWE DZIEŁO O GENIUSZU.

Max Nordau: *Psycho-physiologie du genie et du talent.*

Nordau chciał stworzyć coś odmiennego od teoryi Lombrosa, przyznać jednak odrazu musimy, iż ta ostatnia, przy wszystkich swych błędach i sprzecznościach, wydaje się nam daleko głębszą od luźnych, niepopartych żadnymi dowodami, rozmyślań niemieckiego paradoksisty. Geniusz nie jest chorobą—twierdzi Nordau. To wiemy, polega na czemś zupełnie innem, na odrębnych zdolnościach — zgoda. Ale jest jeszcze pytanie, czy te zdolności odrębne nie muszą być doprowadzone ciśnieniem społecznem do stanu chorobliwego, żeby wydawać dzieła geniuszu? Tak niektóre owoce nabierają zupełnego swego smaku i stają się dobre do spożycia tylko wówczas, gdy zaczynają się psuć. I wogóle część społeczna tej sprawy, zarówno przez Nordaua, jak i przez Lombrosa nawet potrąconą nie została, a w niej tymczasem zawierają się warunki najważniejsze dla jej rozstrzygnięcia.

Wprawdzie Nordau przyznaje, iż geniusz zależy od tłumu — on, ten odludek, marzy zarazem o oklaskach i sławie. Sprzeczność, którą autor tu upatruje, w rzeczywistości nie istnieje. Geniusz bowiem dobija się nie sympatyi, lecz władzy. Dążność do sławy może więc być najwyższym wyrazem niespołeczności. I tłum bynajmniej pod tym względem się nie łudzi — dlatego też najchętniej udziela sławy dopiero po śmierci geniusza. I bynajmniej nie widziemy sprzeczności w tem, iż M. Anioł lub Goethe, gardzący tłumem, wystawiali przed nim swe dzieła — albowiem w ten sposób chcieli utrwalić swą władzę nad nim.

Wraz z Darwinem Nordau przyjmuje dziedziczność, tworzącą organizmy podobnymi do rodziców i przystosowanie, tworzące cechy nowe, odmienne. W sposób jednak zupełnie dowolny zmienia ten porządek, stawiając na pierwszym planie przystosowanie, które uważa za „prawo życiowe pierwotne." To ostatnie oznacza oryginalność, dziedziczność zaś jest źródłem banalności. Samica zachowuje zwykle, w świecie zwierzęcym, typ gatunku, samiec zaś różni się odeń indywidualnie. Toż samo w świecie ludzkim. Kobieta posiada fizyognomię typową, mężczyzna — własną. Kto zna jedną kobietę, zna wszystkie. Tak samo tłum męzki jest banalny, typowy, w porównaniu z geniuszem, który jest oryginalny. Tłum żyje tylko odwiecznemi przystosowaniami do warunków, tj. wrażeniem i uczuciem. Geniusz tworzy nowe przystosowania, które są myślą. Tłum boi się nowości, gdyż te wymagają myślenia, a myśl jest boleścią.

Talent to istota, która wykonywa czynności powszechnie praktykowane lepiej, niż reszta tłumu. Geniusz to człowiek, który wyobraża sobie czynności nowe, przed nim niepraktykowane, lub wypełnia czynności znane podług metody własnej i osobistej. Z tego określenia Nordaua wypływa, iż talent nie ogranicza się do ludzkości, lecz istnieje także w świecie zwierzęcym, natomiast geniusz istnieje tylko u człowieka. Żadne zwierzę oddzielne nie jest w stanie wynajdywać dróg nowych, nieznanych. Mogą to robić gatunki, więc też obdarzone bywają — według autora — zbiorowo geniuszem. Świat organiczny w swej całości jest geniuszem; ewolucya i genialność to synonymy. Człowiek genialny jest pierwszym przedstawicielem gatunku wyższego.

Jakąż jednak jest tkanka, której wyższy rozwój wydaje geniusze? Tkanka nerwowa, głównie mózg. W tym ostatnim należy odróżniać i klasyfikować ośrodki, niższe i wyższe. Hierarchia ta zależy od czynności, jakie one wykonywają; w ocenie tych czynności należy zwracać mniejszą uwagę na ważność w zachowaniu życia, niż na ich udział w wytwarzaniu zjawisk czysto ludzkich, jak dar abstrakcyi i języka. Inne ośrodki, pamięci, woli, wzruszeń posiadamy wspólnie ze wszystkimi zwierzętami; inne wreszcie, odżywiania i rozmnażania — wspólnie ze wszystkiemi istotami żyjącemi. Godność ośrodka jest w stosunku odwrotnym do częstości odnośnej funkcyi w świecie organicznym. Im funkcya jest powszechniejszą i niezbędniejszą, tem odpowiadający jej ośrodek jest prostszy i ordynarniejszy. Im wyżej znajduje się ośrodek, im później dochodzi do dojrzałości, tem jest delikatniejszy i tem łatwiej się psuje i zużywa. Oto czemu geniusz

często wyradza się w szał, ale nim nie jest.

Hierarchia ośrodków ustanowioną została przez samą naturę. Jedynie ośrodki szlachetniejsze, myślenia, rozważania i woli, znacznie rozwinięte czynią z nas nie ludzi wogóle, lecz ludzi określonych, a w najpotężniejszym rozkwicie wydają geniuszów. Tłum pospolity poprzestaje na kombinacyach i przystosowaniach przyjętych, nie oryginalnych. Toż samo talent, który lepiej tylko przystosowania te wypełnia. Można więc powiedzieć nawet, iż talent wcale nie istnieje. Przy właściwem ćwiczeniu można wytworzyć armie nowych artystów i pisarzy Ta klasyfikacya wydaje się nam błędną. Każdy człowiek ma wartość możebną, zależną od jego rasy, od natężenia jego energii życiowej, a także pewną wartość rzeczywistą, odpowiednią do stopnia specyalizacyi, której jego ciało (głównie ośrodki mózgowe) i ta energia ogólna dopięły, to jest jego wartość społeczną.

Oczywiście, iż klasyfikując ludzi genialnych, należy mieć na widoku obie te miary. Z jednej strony wyższość bezwzględna geniusza zależy od ilości jego siły, od natężenia jego namiętności, które są materyałem surowym dla wszelkich objawów duchowych. Z tego punktu widzenia może on być rozpatrywany wprost jako reproduktor. Ale z punktu widzenia względnego wartość geniuszu zależy od stopnia zróżniczkowania i ewolucyi, którego energia jego i ośrodki dopięły: będzie tem wyższy, im bardziej oddalać się będzie od cech ogólnych energii — głodu i miłości — i im bardziej one zamienione zostaną na cechy czysto ludzkie, „szlachetne."

Należy więc rozpatrywać hierarchię funkcyi i ośrodków nerwowych, które im odpowiadają. A więc u podstaw życia znajdujemy odruchy i instynkty odżywiania i rozmnażania i ośrodki nerwowe porządku niższego. Na tej podstawie rozwijają się wzruszenia i ośrodki odpowiednie bardziej wydelikacone, porządku wyższego.

Wreszcie na odruchach, instynktach i wzruszeniach wznoszą się czynności i ośrodki jeszcze wyższe inteligencyi i woli.

Otóż najwyżej stawiamy geniuszów, których wartość absolutna i względna jest największą, tj gdy natężenie ich energii pierwotnej jest potężne i gdy ona dopęła zarazem największej swej specyalności. Organizacye jednak duchowe, któreby odpowiadały tym wymaganiom, są w historyi ludzkiej wyjątkami, w rodzaju Cezara lub Napoleona. A być może, iż ideał ten jest zupełnie niedosięgniony, gdyż i oni pełni zdolności oryginalnych we wszystkich dziedzinach nie okazali. Jeżeli przewyższali innych ludzi wolą lub inteligencyą, to tego nie można powiedzieć o nich jako o artystach. Jeżeli zaś pod tym ostatnim względem i pod względem myśli taki Goethe lub Leonardo da Vinci byli mistrzami niedoścignionymi, to nikt nie powie tego o nich w dziedzinie woli.

Pozostawiając jednak na uboczu ideały i klasyfikując geniuszów rzeczywistych, należy naprzód zważyć ich energię bezwzględną: wyższym jest ten z pomiędzy nich, którego natężenie tej energii jest znaczniejsze. Następnie dopiero można powiedzieć, iż pośród geniuszów tegoż samego natężenia energii ten będzie wyższym, u którego przekształcenie tej energii pierwotnej jest najzupełniejsze, najwszechstronniejsze i najwyżej posunięte. A więc i w tej dziedzinie możnaby rozróżniać z jednej strony wszechstronność rozwoju, z drugiej—jego stopień. W braku wszechstronności i mając do czynienia z jedną jakąś cechą dobrze rozwiniętą, klasyfikować będziemy ludzi według hierarchii centrów nerwowych, odpowiednio rozwiniętych: a więc postawimy uczonego lub myśliciela ponad praktykiem zdolnym w pewnej dziedzinie, lecz niezbyt pomysłowym, a geniusza inteligencyi lub woli ponad geniuszem wzruszenia (uczonego oryginalnego lub działacza ponad artystę). Jest zresztą oczywistem, iż człowiek, łączący w sobie oryginalność i potęgą nietylko woli, ale i myśli, będzie wyższy od tego, co — pod warunkiem rasy jednakowej — posiada tylko jedną z tych władz w wysokim stopniu rozwiniętą. Pierwszy, zbliżając się bardziej do ideału wszechstronności, bardziej zasługiwałby na miano geniusza, niż drugi, będący tylko talentem.

Należy jednak zaznaczyć, iż miana te nie mają w sobie nic bezwzględnego. Oczywiście, iż człowiek rasy wyższej, przedstawiający większe natężenie energii, może przez warunki życiowe być skierowany w jedną jakąś specyalność, gdzie będzie oryginalnym, wynalazczym, gdy inny o energii bezwzględnie niższej pracować może w kilku kierunkach, ale wszędzie pozostanie dyletantem — ten ostatni nie będzie wówczas ani geniuszem, ani talentem, gdyż pierwszym ich warunkiem jest pomysłowość; oryginalność. Człowiek zaś, znajdujący się w pierwszym przypadku, może w jakiejś specyalności niższego porządku, np. Beethoven w muzyce, okazać oryginalność potężniejszą, dzięki przyrodzonemu natężeniu swej energii, niż inny, zajmujący się nauką, który w tej dziedzinie robi jakieś nieznaczne odkrycie, Szuberski np. budujący jakiś nowy piec. Nie postawimy Szuberskiego ponad Beethovenem tylko dlatego, iż zbudowanie pieca wymaga pewnych wiadomości naukowych, czyli pracy w dziedzinie „myśli i woli," gdy Beethoven pracował tylko w dziedzinie „wzruszenia." Nazwiemy raczej tego ostatniego geniuszem. Przypomnijmy sobie tylko te olbrzymie potoki energii, które budził i budzi wciąż w ludzkości Beethoven i nieznaczny jej strumyk, powołany przez Szuberskiego do życia. Widzimy na tym przykładzie, iż należy zwracać uwagę nietylko na ośrodki nerwowe, które dany twórca w ruch wprawia — jak tego chce Nordau — ale także na zakres i natężenie jego energii przyrodzonej, inaczej mówiąc, na jego rasę.

To nam pokazuje, iż wszelkie jednostronne klasyfikacye geniuszów, w rodzaju tej, którą nam Nordau daje, nie mają żadnej wartości. Przytem należy dodać, iż odrzucając kategoryę talentów, zamknął się on w błędnem kole takiego rodzaju sprzeczności: Beethoven ma jeszcze, jego zdaniem, geniusz, acz innego rodzaju w porównaniu chociażby z wynalazcami, natomiast co zrobić z takim Lisztem, który był tylko dobrym wykonawcą? „Nazywają — powiada — geniuszami, zwłaszcza w krajach niemieckich, takiego Liszta, Makarta, Dawisona. Nie jest to bardziej słusznem, niż gdybyśmy nazwali geniuszem człowieka nadzwyczaj muskularnego. — W trzech powyższych wypadkach chodzi bowiem o doskonałość szczególnie rozwiniętą ośrodków nadzwyczaj poziomych" (s. 101). Według Nordaua, Liszt tyleż zasługuje na miano geniusza, co zgrabny tancerz lub fechtownik (str. 109). A w innem miejscu powiada: „Można nazwać Makarta geniuszem chyba w takim tylko wypadku, gdy też samą nazwę zastosujemy do ptaków australijskich, budujących barwne nader gniazda" (135). Zauważymy z tego względu, że ponieważ chodzi tylko o udział centrów myślenia i ponieważ zdaniem autora literatura, w której centry te działają, jest wyższą od muzyki i malarstwa, należałoby postawić takiego Xavier de Montépina lub Richebourga wyżej, niż Beethovena lub Chopina.

Więcej jeszcze należałoby tych gryzmołów i wielopisów budujących nader logicznie sążniste romanse dla stróżów paryskich, postawić wyżej od Baudelaire'a, Mallarmégo lub D. G. Rosettiego, gdyż ci pozostawili nam tylko drobne i wytworne poezye, w których nastrój więcej znaczy, niż „myślenie." A coby Nordau powiedział o takim wypadku. Oto pianista doskonały, wirtuoz pod względem techniki, który odegra czardasza węgierskiego tak, iż zostajemy chłodni; Liszt natomiast tym samym czardaszem wywrze na nas wstrząsające wrażenie. Albo też weźmy jakąś „naturę martwą," której wykonanie nie wymaga wielkiego udziału ośrodków myślenia: przez zwykłego malarza oddaną zostanie tak, iż przejdziecie koło obrazu obojętnie, natomiast przez Makarta w sposób taki, iż jesteście przykuci do płótna, oczarowani, podbici.

Należy więc przyjąć pod uwagę nietylko jakiego rodzaju ośrodki nerwowe przez twórcę w ruch wprawiane zostają przy wykonaniu dzieła, ale także i samo natężenie jego energii życiowej, które nam się udziela za pośrednictwem utworu.

Ten ostatni czynnik całkiem przez Nordaua uwzględniony nie został i dlatego klasyfikacya jego jest zupełnie fantastyczną. Dzieło muzyczne lub malarskie może świadczyć o większej żywotności w artyście, niż dzieło filozoficzne lub naukowe — w myślicielu-uczonym. Tymczasem w pierwszych działają przeważnie ośrodki niższe, w drugich — wyższe. Co najdalej możnaby powiedzieć, iż mając kilku twórców *tej samej żywotności* w różnych dziedzinach myśli i sztuki, należałoby ich klasyfikować według hierarchii ośrodków przyjmujących udział w twórczości. Niestety, nie umiemy jeszcze mierzyć żywotności, przedstawianej przez różne rasy ludzkie. Inaczej mówiąc, żadna klasyfikacya naukowa twórców nie jest jeszcze możebną. Tylko wówczas, gdy potrafimy klasyfikować różne rasy ludzkie według natężenia ich energii życiowej i gdy znalezione zostaną równoznaczniki mechaniczne pracy różnych ośrodków mózgowych, wyższych i niższych, będzie można wyznaczyć każdemu z nich miejsce należyte.

Dr. L. Winiarski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

ARCHEOLOGIA. M. Berson: „Księgozbiór katedry płockiej" (23 str.) z ilustracyami.

ETNOGRAFIA. A. Seidel: „Transwal i Boerowie," tłom. W. Trąmpczyński. „Bibl. dzieł wyb."

HISTORYA. „Dziejów powszechnych ilustrowanych" wyszły zeszyty 272 do 280.

ENCYKLOPEDYA powszechna Orgelbranda zeszyt 103.

KALENDARZE. „Ognisko domowe," na r. 1900 (15 kop.), Dubowski.

FILOZOFIA. T. Ziehen: „Zasady psychologii fizyologicznej" w 15 wykładach z przedmową A. Marburga (XXII i 268 str.), B. Natanson.

— W wydawnictwie *Przeglądu Filozoficznego* wyszły: O. Gaup: „Herbert Spencer," tłom. A. Grosglik (118 str. — 50 kop.) i W. Lutosławski: „Platon jako twórca idealizmu" (94 str. — 50 kop.).

KOSMOGRAFIA. A. Stodołkiewicz: „Świat" (60 str. — 80 kop.).

POWIEŚCI. S. Żeromski: „Opowiadania," wyd 2 (268 str.), Natanson.

— K. Laskowski: „Dla zabicia czasu" (100 str.).

POEZYE

Z SERYI LIRYCZNEJ.

WOLNY PTAK.

Jam wolny ptak!
W obszarze łśnień,
Nie wsnutych w cień —
Gdzie tęczy splot,
Gdzie słońca grot —

Od ziemskich prochów zdala —
W zetknięciu się nie kala:
Mój wolny świecę lot.
A przestwór kołem wyzłacanem,
Zachodnich zórz objęty wianem,
Mem łożem — gdzie duch zdrzemnie.

A Bóg, co wiążąc się tajemnie,
Przepływa ciszą we mnie,
Jedynym moim panem.

Tam, rozpostarty na obszarze,
Samotny lot mój ważę.

I pamięć smutną ziemskich rzeczy,
I byt, co skrzydła nam kaleczy,
I trud w dalekim ziemi gwarze
Poddaję korny pieczy.

A choć od marzeń tych natłoku
Źrenicy, w głąb ziemskiego mroku
Patrzącej, jako grobów cienie,
Bolesne spłynie zasępienie, —
Choć smutek w mar tłocząch rzędzie,
Jak kamień, na mem sercu siędzie,
Ciągnący w ziemski pył istnienia —
Po chwilę zapomnienia, —
Choć obszar — pustka — lęk — rozłąka
I moich własnych skrzydeł szum,
Widmowy wokoło tworząc tłum,
Jak przerażenie, mnie obłąka:
Zgiń, nocy! W słońca zbrojny chrzest,
Jam jest:
W hardości wniebowziętej —
Na nizin ziemskich męty,
Do czołgań — do powrotu
Nie zniżę lotu!
Nie cofnę ducha wag,
Na których, skrzydeł parze
Należny, byt mój ważę —
Królewski — wolny ptak!

Jam wolny ptak! Jam wolny ptak!
Kobieto — życia słodka czaro!
Kobieto — próbo, męko, karo!
Kobieto — płonna wiecznie maro!
Jam wolny ptak!
Choć mnie do twoich drobnych stóp,
Kopiąca złudzie wieczny grób,
Przykuje chwila marnotrawna,
Ach, doświadczona tak oddawna, —
Choć pęka pierś, choć targa szał,
Choć o swój dział — o ziemski dział,
O wcieleń kwiat — o zdrój słodyczy,
O cały świat — o proch zwodniczy,
Rozzuchwalona chwila krzyczy:
Jam twój — nie twój! Znasz mnie? Ho hej!
W przestwory — w górny ze mną szlak!
Tam mi słodyczy źródła lej,
Tam się w źrenicy przejrzyj mej,
Wiecznego żądna czaru!

Tu — piersi mej tęsknoty brak!
Westchnieniom — brak obszaru, —
Tu pasmo chwili rwę niezwrotnie:
Odfruwam — ważyć się samotnie,
Jam wolny ptak!

Jam wolny ptak!
Ty, łosie, czerwiu niestrudzony,
Indziej swe próchno życia wierć!
Indziej śmiertelne staczaj plony!
Mnie, łosie, żadna z twoich plag,
Rozpowitego w lotne błyski,
Nie dotknie z twej siedziby niskiej!
Jam wolny ptak!
I choć mnie w locie zimna śmierć
Nawskroś przeszyje ostrą strzałą,
Nie tu — nie tu, na ziemski pył,
Upadnę piersią tchu zgłodniałą,
Lecz tam— lecz tam—za obrąb chmur,
Rozbłaskiem cudnych wzbity sił,
Krwawiący sztandar niosąc z piór,
Z ogniami lśniącą łzą w źrenicy,
Jak od trwającej błyskawicy, —
W rozwiciu cudnej szczęśliwości,
Rosnącej wciąż odmiany,
Rozmnożnej wkrąg błogości, —
Już słońcem płynąc z żywej rany,
W złocistej światła sieci:
Odlecę — kąpać się w zamieci

Promiennych blasków słońc świecznika,
Niknąc, jak pamięć ludzka znika,
Na zjaw — gdzie słońce wieczne świeci,
Do końca — wolny ptak!

Józef Jankowski.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ LUDOWY.

I.

W chwili obecnej lud budzi w społeczeństwie większe niż kiedykolwiek zajęcie. Gorąco o niego troszczy się szlachta i wynajduje przeróżne środki znachorskie celem zatrzymania go, jako siły roboczej w kraju. Interesują się fabrykanci i właściciele kopalń z tego samego powodu. Lud wszedł na porządek dzienny obrad Towarzystwa hygienicznego, w którem stworzono sekcyę hygieny ludowej i do Towarzystwa przemysłu i handlu, w którem powstała sekcya przemysłu ludowego. Wreszcie prasa poświęca ludowi więcej niż kiedykolwiek miejsca.

Ci jednak, którzy najbardziej i bezpośrednio są zainteresowani losem i bytem tej masy ludności, którzy najbliżej i najczęściej z nią się stykają — w większości wypadków najsłabsze o niej mają pojęcie. Wymownym tego dowodem są naiwne w swej interesowności rady ziemian, udzielane w celu zapobieżenia wychodźtwu włościan na zarobek za granicę. Również znamiennem świadectwem braku znajomości warunków ekonomicznych ludu jest wygłaszane przez szlachtę niejednokrotnie pojęcie (nawet w sekcyi rolnej), że lud nie odczuwa wcale przesilenia rolnego, gdyż nie ponosi znacznych wydatków na najemnika, pracuje wraz z rodziną i nie traci na spadku lub wahaniu cen zboża, gdyż sam jest spożywcą płodów swej pracy, a więc sam doskonale za nie sobie płaci.

Inaczej myślą ci, którzy uważniej i głębiej patrzą w zjawiska bytu społecznego i ekonomicznego. Jakkolwiek lud włościański jest najmniej ruchomą warstwą społeczeństwa, najtrudniej ulegającą wszelkim przemianom i rozkładom życia ekonomicznego i społecznego, to jednakże szybki rozwój urządzeń kapitalistycznych tu i owdzie zdołał poczynić wyłomy w murze zachowawczości włościan. Odczuwają oni nieraz w całej pełni wszystkie wpływy tego najpotężniejszego motoru życia materyalnego, a w znacznej mierze moralnego i duchowego. Lud włościański bowiem nie może stanowić dziś świata odrębnego, gdy sploty interesów i życia wszystkich warstw społecznych są wspólne. Kto zaś inaczej te zjawiska pojmuje i ocenia, ten dowodzi, iż posiada umysł zaledwie uzdolniony do ślizgania się po powierzchni życiowej.

Jak dalece włościanin jest już opasany pierścieniem urządzeń kapitalistycznych, niech powiedzą przykłady, zanotowane przez p. M. Malinowskiego w referacie, odczytanym niedawno na posiedzeniu sekcyi przemysłu ludowego: Szymon Zaremba, gospodarz na 22 morgach w Zakrzowie, miał 1896 r. następujące wydatki: na podatki rządowe i gminne 27 rb. 56 k., na naprawę budynków i płotów 20 rb. 60 k., na utrzymanie i kupno narzędzi 49 rb. 50 k., najem i służbę 27 rb. 35 k., opał (torf i drzewo) 42 rb 10 k., ubranie 87 rb. 63 k., kupno 176 funtów mięsa 13 rb. 20 k., podróże w interesach gospodarstwa 17 rb. 32 k., książki, gazety i naukę dzieci 115 rb. 73 k., razem 401 rb. Przykład drugi: Dwudziestomorgowy młody gospodarz, Piotr Żak, w pow. Lubelskim, w tymże roku miał następujące wydatki: na podatki 14 rb. 36 k., najem i służbę 40 rb. 25 k., paszę i nasiona 12 rb. 80 k., ubranie 30 rb., pisma i książki 18 rb., sól i cukier 17 rb. 70 k., narzędzia rolnicze 9 rb. 50 k., budowle 40 rb., wydatki nieprzewidziane 27 rb. 40 k., razem 309 rb. 57 kop.

Jak widzimy, chłop dzisiejszy ma dość znaczne potrzeby, które musi zaspakajać gotówką, a nawet na taki zbytek, jak pisma i książki, wydaje więcej niż niejeden szlachcic w dalekim zaścianku. Jada czasem mięso (176 funtów na rok!). Nie wytwarza dziś wyłącznie na własne potrzeby najniezbędniejsze, lecz już zaopatruje rynki w swoje wytwory, zwłaszcza takie, które znajdują łatwych i chętnych nabywców (pszenica, jęczmień, żyto, buraki cukrowe itd). Skutkiem tego ugory w trójpolówce, dawniej służące za paśniki, dziś są zajmowane na przedplony dla roślin, dających się spieniężyć. Niektórzy nawet specyalnie lub przeważnie wytwarzają pewne produkty, jak np. ogórki, które uprawiane na Pilicą w Przybyszewie zjednały sobie uznanie najwybredniejszych spożywców. To też gospodarze wszystkie niemal swoje pola obrócili na uprawę tego produktu. Gdzieindziej niektórzy zasiewają dużo koniczyny na sprzedaż.

Chociaż ogółem biorąc kultura rolna gospodarstw włościańskich stoi znacznie niżej, niż ziemian i z niewielkim wyjątkiem bardzo mało odbiega od stanu pierwotnego, to jednakże coraz większa liczba włościan zaczyna się dziś zaopatrywać w narzędzia rolnicze i nawozy sztuczne. Jednocześnie rosną i przekształcają się wymagania i nawyknienia ludu. Pod wpływem rozwoju kapitalistycznego włościanie nasi, na wzór zagranicznych, stają się coraz bardziej wytwórcami wyłącznie płodów rolnych i to nie spożywczych, lecz towaru w szerszem znaczeniu. Wszelkie inne potrzeby, na które dawniej zużywali dużo energii i pracy własnej, dziś im zaspakajają inni wytwórcy i przetwórcy. Po co siać len lub konopie, prząść i tkać, skoro całe letnie ubranie dla chłopaka można kupić za 75 kop

Jakiż stąd wynika stan rzeczy? Oto obraz obecnych stosunków, skreślonych przez p. Malinowskiego: „Gospodarstwo włościanina dzisiejszego wymaga sił roboczych bardzo nierównomiernie. Dawniej jeżeli przy ziemi było mniej roboty, to wolne ręce znalazły zatrudnienie przy przemyśle domowym: tkactwie, pleceniu koszyków, robieniu grabi (i jedne i drugie są już dziś kupowane: to ostatnie z fabryk), i tak rodzina cały rok mogła pracować u siebie i dla siebie. Dziś przez większą część roku członkowie liczniejszej rodziny włościanina są dla gospodarza ciężarem; żeby się go pozbyć, włościanin wysyła swe dzieci do fabryki, do Prus lub do Ameryki. Niejednokrotnie daje się też obserwować fakt, że taki gospodarz wysyła syna do fabryki, a najmuje rocznego robotnika, bo pierwszy więcej zarobi gotówki, aniżeli kosztuje drugi."

Chłop dzisiejszy musi tedy coraz usilniej rozwijać swe zabiegi około produkcyi na sprzedaż. Weźmy znowu przykłady z gospodarki dwu gospodarzy wymienionych powyżej: Szymon Zaremba w roku 1896 sprzedał: zboża za 183 rb. 72 k., produktów z ogrodu i pasieki za 189 rb. 32 k., inwentarza za 125 rb. 50 k., różnych za 18 rb. 50 k., razem za 517 rb. 4 k. Piotr Żak w tym samym roku: zboża za 255 rb. 50 k., kartofli za 60 rb., inwentarza za 100 rb., nabiału, owoców i miodu za 24 rb., dochodu z introligatorstwa miał 46 rb., innych drobnych 34 rb, 40 k., razem 378 rb. 90 k.

Widzimy zatem, jak jest błędne mniemanie szlachty, mającej bliską styczność ze wsią, że lud nasz wytwarza tylko dla siebie i zaspakaja wszelkie swoje potrzeby pracą rąk własnych, w naturze, a więc nie odczuwa przesileń rolnych. Tu i owdzie

chłop nawet zrozumiał, że bez udoskonalonych narzędzi rolniczych i wogóle bez ulepszeń w gospodarstwie będzie musiał borykać się z coraz trudniejszymi warunkami bytu. P. Malinowski podaje następujące przykłady w tej mierze: Szymon Zaremba za pomocą trieura i młynka otrzymuje najcięższe ziarno do siewu i na sprzedaż, bo i cóż dla pierwszego i drugiego celu byłoby warte ziarno z łopaty? Blitek pod Proszowicami kupił sobie siewnik rzędowy, bo posiadając 20 mórg ziemi, stara się o zyskanie jak największych i jak najzyskowniejszych plonów. Szopiński, 25-morgowy gospodarz z pow. Miechowskiego, musiał kupić stadnika rasowego, siewnik, trieur i mleczarnię, wreszcie zaczął stosować nawozy sztuczne, aby zyskać tem większe plony i zamienić je na kapitał obrotowy.

Dążność taka daje się zauważyć w wielu okolicach kraju. Chłop coraz bardziej wprzęga się do systemu produkcyi kapitalistycznej, coraz mocniej się wplata w sieć ogólnych warunków ekonomicznych i coraz silniej odczuwa wszelkie ich następstwa.

Ponieważ jednak ani poziom umysłowy, ani inteligencya rolników siermiężnych, ani ich system trójpolowy nie pozwalają całkowicie zadośćuczynić dzisiejszym wymaganiom rozwoju ekonomicznego, techniki i kultury, więc chłop chodzi w odwiecznym deptaku, czyniąc bardzo słabe postępy. Większe udoskonalenia techniczne i kulturalne wprowadzają tylko inteligentniejsi, zasobniejsi w ziemię tudzież wszelkiego rodzaju inwentarz. Cała zaś masa włościan, pomimo że już nie wytwarza dla siebie, prowadzi jednak nędznie gospodarkę pierwotną, pracuje bardzo nieprodukcyjnie i trwoni dużo czasu. Wogóle chłop jest kiepskim rachmistrem. Jedzie do miasta z korcem kartofli mozolnie wyprodukowanych, traci dzień cały, traci kilka złotych na utrzymanie siebie i konia, po to, ażeby ów korzec sprzedać za dwa ruble. Gorzej bywa ze sprzedażą inwentarza żywego. Gospodarz traci czas i pieniądze na jarmarkach, nie ma pojęcia, ile jest warta jego krowa lub świnia i nie sprzedawszy towaru, wraca do domu.

Pewien ekonomista niemiecki powiada, że pośród sprzedających i kupujących handlarzy na rynku towarowym włościanin w najgorszem jest położeniu. Nie zna stosunków handlowych, nie wie o najdogodniejszych dla siebie terminach dostawy, nie umie, nie potrafi i nie może z nich korzystać, zwłaszcza gdy go do sprzedaży zmusza potrzeba pieniędzy. Nikt bardziej, niż włościanin, nie zależy od pośrednika, nikt bardziej, niż on, pośrednikowi temu nie napełnia kieszeni. Pośrednik jest względem włościanina oszustem, wyzyskiwaczem, pijawką lichwiarską — czem kto chce.

Taki stan rzeczy istnieje tam, gdzie się rozwinęła praca zrzeszona, gdzie powstała nieprzebrana moc kółek, stowarzyszeń rolnych włościańskich, kas Rajfejsenowskich, gdzie komunikacyę doprowadzono do wielkiej doskonałości, gdzie poziom umysłowy chłopa i jego kultura rolna bardzo wysoko stoi w stosunku do nas.

Cóż więc mówić o naszych włościanach?! Jeżeli ziemianie nie mogą się u nas obywać i radzić sobie bez spekulantów, pośredników, aferzystów, skupywaczów i zdzierców wszelakich, to tem bardziej lud nic uczyni kroku bez ich pomocy. Traci on na tem dużo materyalnie, nie może wybrnąć z bierności i zależności. Nadto lud polski, (biorąc całą jego masę) nie jest rzutki i przezorny. Po skończeniu robót pilnych siedzi w domu, dopóki nie sprzeda lub nie zje zapasów. Potem idzie na zarobek w czasie najmniejszego popytu; a ponieważ wogóle z natury dość ociężały, więc zarobkowa praca jego, jako mało produkcyjna, jest stosunkowo licho płatna.

Suma takich warunków jest gruntem bardzo przyjaznym do rozwoju niedomagań ekonomicznych ludu naszego. Traci on ziemię i emigruje również, jak szlachta, do miast wielkich i ognisk fabrycznych. Wszakże znaczna większość stróżów w domach miejskich rekrutuje się z byłych włościan rolników, jak i wogóle masy ludności wyrobniczej i fabrycznej. Obok tej istnieje inna kategorya: włościan posiadających grunt, lecz pomimo to zarobkujących przeważnie po za domem daleko. Taki stan rzeczy oczywiście bardzo jest niekorzystny wogóle dla interesów rolnictwa. Ziemianie nie mają sił roboczych, więc bądź sami, bądź za pośrednictwem swych rzeczników starają się doradzać środki przeróżne, któreby zatrzymały lud na roli. Między innymi do silnie zalecanych należy tak zwany przemysł domowy, który nasi lekarze ekonomiczni rozumieją w formie filantropijno-społecznej, więc chcą go w sposób sztuczny, cieplarniany zaszczepić śród ludu. Tu i owdzie były już nawet próby działalności w tej mierze, ale bardziej one noszą charakter sportu swego rodzaju, więcej są wytworem ambicyi jednostek, usiłujących coś robić, niżeli organizacyą trwałą i szeroką, mającą na względzie rozwój ekonomiczny mas ludności.

Zen. Piet.

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Międzynarodowe zjazdy kooperatystów. — Plan powiązania syndykatów rolnych z kooperacyą spożywczą. — Praca p. Kudelki. — Jakie grupy włościańskie należą do syndykatów?—Przyszłość ruchu.

Odbył się w Londynie 1895 r. pierwszy międzynarodowy zjazd kooperatystów — zdarzenie, które pomimo niezaprzeczonej swojej doniosłości minęło w prasie naszej prawie niepostrzeżenie. Między innymi zebrali się tam w liczbie bardzo znacznej przedstawiciele kooperacyi ziemiańskiej, wykazując, że zrzeszenie na gruncie stosunków rolnych przybiera rozmiary z każdym rokiem poważniejsze. Irlandya, Dania, Kanada, Francya, Niemcy nadesłały sprawozdania, świadczące, iż rolnicy, przynajmniej w niektórych gałęziach przemysłu wiejskiego, pojęli całe znaczenie wiązania się w spółki dla stawiania czoła pośrednikom i dla zbiorowego nabywania droższych sprzętów. Co więcej, rozprawy, odbywające się podczas zjazdu, dowiodły, iż ziemianie, a przynajmniej kierownicy ruchu ziemiańskiego, widzą w zrzeszeniu szaniec ochronny przeciw skutkom, jakie za sobą pociągnęła konkurencya zamorska na rynku zbożowym i wogóle płodów rolnych. Jednogłośnie przyjęto tam uchwałę, wniesioną przez lorda Greya. Głosi ona co następuje: „Zważywszy krańcowe napięcie przesilenia rolnego, które sroży się w całej Europie, zjazd poleca uwadze wszystkich warstw, zależnych od rolnictwa, stosowanie metod kooperacyjnych, jako praktycznego środka, mogącego złagodzić złe dzisiejsze i przygotować lepszą przyszłość."

Jeszcze charakterystyczniejszą jest inna uchwała. Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy*, zrzeszenie spożywcze w Anglii jest dzisiaj wielką potęgą społeczną, dochodzącą do tego, iż każdy dwudziesty pierwszy sprawunek, dokonany przez każdego Anglika, przypada na kupno przedmiotu w sklepach kooperacyjnych, a raczej przypadał, bo nasze cyfry dotyczą roku 1896, od tego zaś czasu niewątpliwie stosunki zmieniły się jeszcze bardziej na korzyść kooperacyi. Posiadają one, tj stowarzyszenia spożywcze, znaczne rozmiary w Belgii, we Francyi liczą około pół miliona członków itd. Postawiono więc na zjeździe londyńskim wniosek współdziałania celem połączenia wysiłków, rozpoczętych przez rolników, z dążeniami kooperatystów spożywczych. Starania ziemian są skierowane ku zapewnieniu rynku bez pomocy pośredników, kooperatyści-spożywcy dążą do zakupna przedmiotów z pierwszej ręki również z pominięciem ogniw świata handlowego. Zdawałoby się więc, iż zbliżenie obu prądów nie przedstawia najmniejszej trudności, lecz owszem powinno wyjść na pożytek dla spożywców i dla rolników. Ziemianie zrzeszeni odrazu zabezpieczyliby sobie rynek, jak w Anglii, dość znacznej rozległości, bo liczący około sześciu milionów spożywców, a może nawet więcej. Zresztą próby te posiadają odleglejszą przeszłość za sobą. Już w r. 1886 na zjeździe kooperatystów francuskich podniesiono tę ideę, w r. 1893 zebranie kooperatystów spożywczych w Grenobli nawet wydelegowało komisyę specyalną dla zawiązania bezpośrednich stosunków z syndykatami rolnymi, zjazd zaś stowarzyszonych rolników, który odbył się w roku następnym w Lyonie, przyłączył się do tej propozycyi i polecił syndykatom regionalnym wejście w stosunki z miejscowymi związkami spożywców. Ale myśl o zbliżeniu wzajemnem, jak dotychczas, nie doczekała się jeszcze dodatnich rezultatów, bo na przeszkodzie stanęły różne okoliczności, tkwiące w upodobaniach i przyzwyczajeniach obu prądów. Rolnicy nie odznaczają się znajomością praktyk i potrzeb handlu, pragnęliby pozbyć się swego produktu jednorazowo, byleby po wysokiej cenie. Związki spożywcze korzystają z różnych ułogodnień kredytowych, wymagają próbek itd.. a tego wszystkiego wyrzec się nie mają zamiaru; rolnicy nie dostarczają towaru, przyrządzanego według przyzwyczajeń spożywców, jak to robią pośrednicy, ani tak ujednostajnionego. Ale początek zrobiono: dzisiaj istnieje we Francyi mieszana komisya syndykatów rolnych i stowarzyszeń spożywczych, która gorliwie krząta się około tego zbliżenia. Jeśli dojdzie do tego, powstanie w życiu społeczeństw Europy zachodniej nowotwór społeczny, którego doniosłości i wogóle skutków na przyszłość niepodobna nawet w przybliżeniu przewidzieć.

Ostatnio przytoczone dane wyjęliśmy z pracy naszego rodaka, p. Tadeusza Kudelki, pisanej po niemiecku a poświęconej przedstawieniu rozwoju i obecnego stanu syndykatów rolnych we Francyi *). Nie będziemy się rozwodzili dłużej nad tą książką, chociaż z jej powodu wzięliśmy pióro do ręki; poprzestaniemy tylko na zaznaczeniu, iż w literaturze przedmiotu stanowi ona najświeższą próbę zestawienia istniejącego materyału, dokonaną w sposób sumienny i pracowity.

Natomiast, korzystając z okazyi, postaramy się rzucić nieco światła na sam prąd syndykalny, tj. na strony jego, które dotychczas zostały bardzo mało uwzględnione.

Zazwyczaj widzą w nim ruch kooperacyjny, wiążący drobnych włościan. I w pracy p. Kudelki znajdujemy tego rodzaju twierdzenia. Powiada on w pewnem miejscu swojej książki: „Dzięki temu (tj. zrzeszeniu) zdolności konkurencyjne mniejszych i średnich gospodarstw doznają wzmocnienia nietylko w stosunku do wielkich majątków własnego kraju, lecz nadto, co jest rzeczą o wiele ważniejszą, w przeciwstawieniu względem rolnictwa zagranicznego." Niewątpliwie, twierdzenie to, o ile dotyczy rolnictwa nie-francuskiego, jest słuszne, ale tylko dopóty, dopóki i ziemianie zagraniczni nie wejdą na drogę spółek. Co zaś do zwiększonej zdolności współzawodnictwa z przedstawicielami wielkiej własności ziemskiej na rynku krajowym, doprawdy nie widzimy żadne-

*) *Das landwirthschaftliche Genossenschaftwesen in Frankreich.* Berlin, 1899.

go powodu do pokładania takich nadziei w syndykatach, gdyż wszelkie korzyści, otrzymywane przez rolników ze zrzeszenia, są chyba nie mniej dostępne dla wielkich, jak i małych rolników. A jeśli i istnieją w stopniu większym dla włościan, to w każdym razie polegają na tem, iż znoszą wyzysk pośrednika, który odznaczał się znaczniejszem napięciem w zakresie stosunków z drobnym posiadaczem. Lecz przedewszystkiem nastręcza się nam pytanie co do współudziału włościan w ruchu kooperacyjnym rolnym. Pomimo pewnej znajomości ruchu syndykalnego francuskiego i nawet umyślnego szukania danych co do rozwiązania nasuwających się nam wątpliwości, dotychczas nie znaleźliśmy na nie odpowiedzi.

Lecz przedtem winniśmy zaznaczyć, iż syndykaty, tworzące się we Francyi, posiadają różny charakter. Istnieją tam związki dla zakupna nawozów, nasion i sprzętów, powstały kasy wzajemnego kredytu i zabezpieczenia, ukazały się stowarzyszenia wytwórcze (serownie, maślarnie, piekarnie, nawet młyny), zjawiły się stowarzyszenia sprzedawcze. Nie wątpię, iż niektóre formy zrzeszenia, np. instytucye kredytowe i ubezpieczenia, mogą ogarnąć rolników różnej zamożności, lecz co do wielu innych organizacyi wciąż żywię pewne wątpliwości, o ile zdołają objąć niższe kategorye ludności wieśniaczej. O ile zaś już objęły, dotychczas nie znalazłem najmniejszych danych, które by mi wyjaśniły istniejący stan rzeczy. Wprawdzie w sprawozdaniach i pracach o rozwoju syndykatów we Francyi spotykam liczne wzmianki o włościanach, lecz nigdy cyfr statystycznych, powiadających mi, jakie kategorye korzystają z dobrodziejstw zrzeszenia. Jedynie statystyka, wykazująca, ile i w jakiej formie jest w syndykacie członków, posiadających parcele, drobne działy, większe i wielkie osady, dałoby mi pojęcie o rzeczywistym stanie, oraz o puszczeniu przez kooperacyę korzeni w niższe warstwy włościaństwa.

Postarajmy się dokonać tej roboty na podstawie pewnych danych pośrednich.

Tablica, przytoczona w dziele p. Kudelki, daje nam pojęcie o stosunku wzajemnym we Francyi gospodarstw różnej wielkości. Istniało tam gospodarstw:

poniżej jednego hektara	2,235,405
od 1 do 10 hekt.	2,617,558
od 10 do 40 hekt.	711,118
powyżej 40 hekt.	138,671.

Z drugiej strony już przed paru laty mówiono o liczbie 600,000 członków ruchu syndykalnego, ostatnie zaś źródła wspominają o milionie nawet. Niewątpliwie zamożniejsi gospodarze są pierwsi w korzystaniu z dobrodziejstw powstającego zrzeszenia. Jeśli nawet przypuścimy, iż syndykaty posiadają około miliona członków, to powyższa tablica świadczy, że pierwsze dwie co do wielkości swojej kategorye, mianowicie ci, którzy mają powyżej 10 hektarów, prawie wyczerpują zastępy zrzeszone. Naturalnie, bynajmniej nie chcemy twierdzić, ażeby każdy członek tej zamożniejszej warstwy należał do syndykatów, ani nie zaprzeczamy możności wejścia do nich pewnych żywiołów z pośród innych kategoryi. Nadto współzależność nie jest tak dokładną i z innych powodów, bo sama rozległość gruntów nie daje jeszcze należytego probierza do wyrokowania o zamożności oddzielnego gospodarza. W pasie winnic hektar ziemi kosztuje 20—30 razy tyle, ile w Sologne, i posiadacz takiego kawałka, występujący w tablicach statystycznych jako drobny gospodarz, przecież znajduje się na innym poziomie niż jego współrodak z tej samej rubryki. Wogóle wszędzie, gdziekolwiek włościanin wyspecyalizował się, jako hodowca nabiału, uprawiacz krzewu winnego lub oliwek itp., a zarazem znalazł się pod wyłącznem działaniem rynków i produkcyi na sprzedaż, wszędzie tam wydziela się on faktycznie z pośród reszty włościan, posiadających kawałek ziemi tej samej rozciągłości. A właśnie takie żywioły wyspecyalizowane są dzisiaj głównymi uczestnikami rozwijającego się ruchu syndykalnego. Energiczniejsze, obdarzone większą inteligencyą i wyrobieniem, zwłaszcza zaś bardzo wrażliwe na wyzysk ze strony pośredników, pierwsze spróbowały szukać polepszenia warunków bytu swego na drodze zrzeszenia. Przeglądając np. prace hr. Rocquigny, spotykamy te żywioły na każdej niemal stronicy wspominane nieproporcyonalnie często w stosunku do ich liczebności w kraju. Gdybyśmy więc odliczyli to czoło zastępów syndykalnych, to koło członków zrzeszenia pozostałoby bardzo uszczuplone, i liczba ich niewątpliwie wygodnie pomieściłaby się w rubryce własności, posiadającej około dziesięciu hektarów i nieco więcej. Naturalnie, tu i owdzie, szczególnie gdy chodzi o zrzeszenie kredytowe i ubezpieczeniowe, kooperacya rolna zagarnęła także i inne grupy, posiadające poniżej dziesięciu hektarów, ale z tego, co znam dotychczas o syndykatach francuskich, odniosłem wrażenie, iż odgrywają one rolę bardzo nieznaczną w całym ruchu.

Niewątpliwie, prąd syndykalny francuski, organizując indywidualistów wiejskich, oraz wprzęgając ich do wyższych form organizacyi ekonomicznej, dokonywa wielkiego i pożytecznego dzieła. Idąc wciąż dalej w tej robocie, wzrastał i nawet potężniał z każdym rokiem, tak iż można spotkać ukryte nadzieje, iż z biegiem czasu obejmie wszystkie żywioły włościańskie. Co do tej przyszłości jego nie będziemy wyrokowali, póki w inny sposób, mianowicie na przykładzie, nie udowodni nam, że zdoła także ogarnąć i niższe grupy włościaństwa, nie wyrywając z pośród nich nielicznych a ruchliwych i inteligentnych jednostek, lecz pociągając za sobą masy. Dopóki nie wyjdzie zwycięzko z tej próby, dopóty nie możemy mówić o dalszym jego rozwoju. Jest to bowiem zadanie, o które może się potknąć.

K. R. Ż.



W DALI.

Łódź. Komitet łódzki handlu i przemysłu otrzymał do rozważenia projekt prawa o kształceniu szkolnem robotników małoletnich. Chodzi tu o wykłady dla robotników dorosłych tudzież o szkoły ogólne początkowe i profesyonalne. Ten sam komitet przed kilku tygodniami otrzymał do rozważenia projekt prawa o zapewnieniu pomocy lekarskiej robotnikom fabrycznym. Projekt ten przyjęto w całości, wkrótce zaś odbędą się w Petersburgu narady nad nim z udziałem delegatów komitetów giełdowych tudzież handlu i przemysłu. — Stanowisko dyrektora Towarzystwa muzycznego w Łodzi objął p. Henryk Melcer. — Otwarto pierwszą lecznicę chorób zębów i jamy ustnej.

Kijów. Zatwierdzono już budowę nowej kolei Kijowsko-Kowelskiej. Ministeryum komunikacyi dało w tych dniach upoważnienie do wywłaszczenia gruntów potrzebnych. W Kijowie powstał zarząd, prowadzący badania nad ostatecznym wyborem kierunku kolei. Pod przewodnictwem inżenierów badania owe rozpoczną się w tych dniach i będą trwały przez całą jesień i zimę. Poczem na wiosnę rozpocznie się budowa kolei i skończona będzie w r. 1901. Długość całej linii wyniesie 425 w. Rozpocznie się ona od stacyi Żulany kolei Południowo-Zachodnich (o 7 wiorst od Kijowa) i pójdzie ku Owruczowi, następnie pod stacyą Somny przetnie koleje Poleskie i stamtąd skieruje się do Kowla. Budowę prowadzić będzie rząd. Linia ta ma doniosłe znaczenie dla znacznej przestrzeni Polesia wołyńskiego, pozbawionego komunikacyi. Jednocześnie będzie wzniesiony w Kijowie nowy dworzec centralny, którego koszty obliczono na półtora miliona rubli.

Radom. Spółka rolna radomska jak donosi korespondent *Kuryera War.*, rozpocząwszy działalność w dniu 14 sierpnia r. b., pozyskała już 156 członków, posiadających 205 udziałów na ogólną sumę 20,500 rubli i wytworzyła kapitał zapasowy w kwocie 2,050 rubli. Ogólny obrót spółki do dnia 1 października r. b. wynosi 10,676 rubli: główniejsze pozycye stanowią: maszyny rolnicze (5,533 rb.), nawozy sztuczne (3,012 rb.), nasiona i zboże do siewu (1,798 rb.), worki, pasy, gwoździe, latarnie (332 rb.) itp. Z usług Spółki korzystają także włościanie, zakupując przeważnie narzędzia rolnicze; zgłosiło się także ich kilku z prośbą o ustawę Spółki, aby „wiedzieć, do czego też ta Spółka jest.“ Dyrektorem jest p. Szymon Konarski, prezesem zarządu p. Adam Helbich, radca Towarzystwa kredytowego ziemskiego. — W Halinowie pod Radomiem odkryto pokłady glinki ogniotrwałej tudzież nadającej się do wyrobów ceramicznych i terakotowych.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę kasy zaliczkowo-oszczędnościowej urzędników politechniki warszawskiej.

Szkoły. W okręgu naukowym moskiewskim obraduje komisya (złożona z przedstawicieli szkolnictwa) nad sprawą przekształcenia szkół średnich. Wyraża ona zdanie, że wychowańcy szkół realnych mogą wstępować do uniwersytetów na wydziały fizyczno-przyrodnicze i matematyczne, a na inne — po zdaniu egzaminu z łaciny. Nadto, uważa ona za pożyteczne stworzenie typu gimnazyum, w którem uczniowie do 5 klasy, zarówno klasycy jak i realiści, uczyliby się razem. Dopiero zaś od klasy 5 rozpoczynałaby się specjalizacya tj. oddziały klasyczny i realny.

— Senat rządzący wyjaśnił niedawno, iż w szkołach dentystycznych wolno wykładać tylko lekarzom, posiadającym stopień doktora medycyny lub chirurgii. Do wyjaśnienia tego kazano się zastosować w szkole dentystycznej w Warszawie.

— Ze względu iż 95% dziatwy ludności miejskiej ma zepsute zęby, Towarzystwo ochrony zdrowia czyni starania o ustanowienie prawidłowego dozoru nad stanem młodzieży szkolnej.

— Ministeryum zatwierdziło ustawę szkoły handlowej prywatnej p. Cyrklera w Łodzi. Zakład ten jest jednoklasowy z kursem dwuletnim dla chłopców w wieku 12—15 lat.

Torg. prom. gaz. donosi że ministeryum skarbu zatwierdziło przepisy co do stypendyum imienia S. Kierbedzia w politechnice warszawskiej, powstającego z odsetków od kapitału 6,000 rb., ofiarowanych przez p. Maryę Kierbedziową. Ze stypendyum mają korzystać osoby pochodzenia polskiego i wyznania katolickiego, urodzone w gub. Kowieńskiej, Wileńskiej, Mińskiej, Witebskiej lub w Królestwie Polskiem. Stypendystów wybiera syn S. Kierbedzia, inżenier Michał Kierbedź, a po jego zgonie zarząd politechniki, pod warunkiem, ażeby rodzina Kierbedziów i jej krewni mieli pierwszeństwo.

Poczta. Jak donoszą dzienniki finlandzkie, senat, odmówił ogłoszenia rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych o wprowadzeniu w guberniach finlandzkich ogólno-państwowych marek pocztowych, upatrując w tem naruszenie autonomii i praw sejmu. Generał-gubernator uznał takie postanowienie senatu za sprzeczne z prawem istniejącem, przyznanem przez senat jeszcze przy wydaniu Najwyższego Manifestu o zjednoczeniu wydziału pocztowego w r. 1890, kiedy to także i prasa miejscowa uznała je za obowiązujące w kraju.

Koleje i komunikacye. Według dokonanego świeżo spisu przez wydział służby zdrowia, liczba osób służących na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej wraz z rodzinami wynosi 45,000.

Wystawy i zjazdy. Zjazd owocarski, zwołany w Petersburgu podczas wystawy, uchwalił: Utworzyć w Petersburgu komitet główny, ogniskujący działalność komitetów miejscowych opieki nad plantacyami; 2) miasta powinny wyznaczać przynajmniej 5% swojego budżetu na koszty zadrzewienia; 3) należy wyznaczać nagrody dla nauczycieli, uczniów i osób prywatnych za popieranie zadrzewień; 4) kary za uszkodzenia powinny być ściągane w drodze administracyjnej, na zasadzie uchwały komitetów plantacyjnych, jako kary za uszkodzenie własności miejskiej; 5) należy utrzymywać po miastach obowiązkowo szkółki drzewne i 6) wyjednać zmniejszenie podatku miejskiego od przestrzeni, zajętych przez ogrody osób prywatnych.

Zmarli. Ludomir Ludwik Szczerbowicz-Wieczór, w Warszawie, literat i pedagog. Wydał kilka prac językoznawczych: „O skażeniu obecnie języka polskiego“ (1881) „Badania porównawcze“ (1882). Probował zabierać głos w sprawach społecznych („Zagadnienia i kierunki“ r. 1874 i „Kilka kwestyj“ r. 1878). Nadto pisał powieści i zasilał literaturę dla dzieci. Zapisał cały swój majątek na cele publiczne: 4,000 rb. na rzecz gimnazyum w Cieszynie; w razie zaś gdyby zapis ten nie mógł być wykonany — na przytułek dla dziewcząt w Puszczy. Księgozbiór swój ofiarował Bibliotece Jagiellońskiej.

— W Szwajcaryi zakończył życie Bolesław Hirszfeld, człowiek niepospolitego umysłu. Była to postać czysta, przejęta uczuciami altruizmu w najszerszem znaczeniu. Śmierć jego jest bolesną stratą nietylko dla najbliższych, lecz i dla tych wszystkich, którym swą pomocą służył.

Odpowiedzi Redakcyi.

S. M. J. Wiersz gładki, prawidłowy, nawet ozdobny, ale jego wątek nie zawiera ani jednej nitki oryginalnej.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Октября 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.